

Rok XXXII

Nr e-142 (338)

Sierpień 2018

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Wyprawa do serca Gór Izerskich	<i>Krzysztof Pik</i>	3
Jesienne kontrasty	<i>Krzysztof Gdula</i>	6
Bílovec – miasto, w którego herbie jest rozdarta strzała	<i>Bartosz Skowroński</i>	9

OJCZYSTE SZLAKI

Kto poleciał wyżej i dalej?	<i>Tomasz Kowalik</i>	11
Tężniopolis wyniesiony na piedestał	<i>Bogumił R. Korzeniewski</i>	13
Tak, jestem wierny Suwalszczyźnie	<i>Tomasz Kowalik</i>	16
Ścieżka koronami drzew	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	18

TRASA MIESIĄCA

Wodospad w Leszczu	<i>Juliusz Wysłouch</i>	20
--------------------------	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Tragiczna wyprawa na Mont Blanc	<i>Krzysztof Tęcza</i>	23
Muzeum Pedagogiczne w Kijowie	<i>Janusz Fuksa</i>	28

PORADNIK TURYSTYCZNY

Świnica – Zawrat. Zamknięty szlak	<i>Juliusz Wysłouch</i>	30
---	-------------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

„ToTuToTam” na szlaku Orłowicza	<i>Sandra Matyszczyk</i>	32
---------------------------------------	--------------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Przyroda co krok razem z nami	<i>Tomasz Kowalik</i>	34
-------------------------------------	-----------------------------	----

LISTY, OPINIE, POLEMIKI

Bez kwiatów dla Julka W.	<i>Tomasz Kowalik</i>	36
-------------------------------	-----------------------------	----

Na okładce: W masywie Mont Blanc. Fot. Krzysztof Tęcza

Wyprawa do serca Gór Izerskich

Piękna, słoneczna, lipcowa niedziela była okazją do wybrania się w serce Gór Izerskich – do Hejnic, Białego Potoku i Smědavy. Po wykupieniu biletu EURO-NYSA za 35 zł z Jeleniej Góry, wybrałem się na wycieczkę wraz z rowerem. W Libercu przesiadłem się na autobus do Białego Potoku i dotarłem do Hejnic.

Euroregion Nysa coraz bardziej się integruje, od kiedy w 2004 r. nasi sąsiedzi dołączyli do Unii Europejskiej. Również i my chcemy się przyczynić do tego procesu. Bilety EURO-NYSA-TICKET stanowią ofertę obowiązującą nie tylko na całym obszarze ZVON-u, ale także umożliwiają korzystanie z wielu linii w Czechach i w Polsce. Wybierzmy się zatem na odkrywczą podróż do sąsiadów, poznajmy inny kraj i jego mieszkańców.

Celem mojej wyprawy do Hejnic była bazylika mniejsza Nawiedzenia Marii Panny. Nazwa miasta prawdopodobnie oznacza „wieś w gajach”. Uważa się, że pierwszymi mieszkańcami terenu dzisiejszej miejscowości byli węglarze. Za pierwszą wzmiankę o osadzie uchodzi data MCCXI (1211), którą rzekomo wyłoblił cieśla na belce stropowej drewnianej kapliczki stojącej w miejscu dzisiejszej bazyliki mniejszej. Budowniczo- wie, którzy kapliczkę przebudowywali w roku 1252 na kamienny kościół, datę MCCXI oznaczyli na sklepieniu. W latach 1692–1996 Marek Antonin Canevalle dobudował do pierwotnego kościoła czternawowy klasztor z ambitem, który został następnie przekazany franciszkanom. W latach 1722–1729 kościół przebudowano wg projektu Thoma- sa Haffeneckera na bazylikę w obecnej postaci, wkomponowując w nią pozostałości wcześniejszej świątyni. Barokowa dwuwieżowa budowla



Bazylika mniejsza Nawiedzenia Marii Panny w Hejnicach



Ambona barokowa w bazylice w Hejnicach

od trzech wieków jest religijnym sercem miejscowości. Znajduje się w niej gotycki posąg św. Marii (*Mater Formosa*) z lat 80. XIV wieku. Kolejnym zabytkiem o wielkiej wartości jest polowy ołtarz Albrechta z Valdštejna oraz inne pamiątki, w tym rodzinny grobowiec właścicieli byłego majątku frydlandzkiego – Clam-Gallasów. Otoczenie bazyliki i klasztoru zdobi szereg chronionych kamiennych rzeźb. Pośród nich rośnie zabytkowa lipa drobnolistna o obwodzie pnia 405 cm i wysokości 20 m, licząca ok. 250 lat.

Od 1994 r. w klasztorze mieści się Międzynarodowe Centrum Odnowy Duchowej. Jest i legenda o złym mnichu i dzwonach. W kościele Nawiedzenia Marii Panny podobno onegdaj dzwonnikiem był gruby i zły franciszkanin. Kiedy zmarł, dzwony nie chciały mu bić na pogrzeb i bez dźwięku kołysały się na wieży. Zaklęcie złamał dopiero doświadczony myśliwy, który odniósł czarnego koguta – duszę dzwonnika – do jeziorok na skłonie Czarnej Góry (*Černa hora*), które są bramą do piekła, i tam wrzucił go do wody.

Po posiłku czekał mnie dziesięciokilometrowy podjazd rowerem w cieniu pięknego bukowego lasu do Smědavy. Chata Smědava leży na wysokości 847 m n.p.m., na ważnym skrzyżowaniu szlaków turystycznych w Górach Izerskich. W okolicach zajazdu są dwa miejsca które warto zwiedzić – miejsce katastrofy lotniczej i szczyt Jizera, najwyższe wzniesienie Hejnickiego Grzebienia (*Hejnický hřeben*), druga co do wysokości góra Jizerskich hor (czeskiej części), a zarazem trzecia całych Gór Izerskich.

Po południu 23 kwietnia 1992 r. na zboczach Smědavskiej hory rozbiły się dwa francuskie samoloty (Cessna i Piper). Bezpośrednią przyczyną było uderzenie w grunt. Piloci utracili orientację w terenie, kiedy gwałtownie pogorszyły się warunki awiacyjne. Obie dwuosobowe załogi zginęły na miejscu. Samoloty wypełnione lekarstwami leciały z jednorazową pomocą humanitarną dla szpitali leczących ludność cierpiącą po katastrofie w Czernobylu. Skierowana ona była do Polski, Rumunii i Białorusi. Akcję przygotowała duża organizacja pomocowa *Secours populaire francais*. Z Francji wystartowało 12 maszyn sportowych, w większości Cessny i Pipery. Na pokładzie każdej był pilot i dziennikarz lub lekarz. Pierwszy, wspólny etap lotu zakończył się 22 kwietnia 1992 roku w Erfurcie. Po noclegu i zatankowaniu, załogi w trzech grupach ruszyły: do Białorusi – 6 samolotów lecących nad Polską, do Rumunii – 3 i do Katowic – pozostałe 3 awionetki. Te ostatnie na swej trasie dogoniły front atmosferyczny, który starały się ominąć. Po utracie orientacji, krążeniu nad Białym Potokiem, szef eskadry zadysponował odwrót. Niestety w gęstej chmurze Cessna i Piper nie zdążyły uniknąć zderzenia ze Smědavską horą.



Odpoczynek w Białym Potoku



Chata Smědava

Na szczyt Jizery prowadzi 3,5-kilometrowy szlak ze Smědavy. Sam szczyt jest jednym z najpiękniejszych punktów widokowych w sercu Gór Izerskich. W sporze granicznym z roku 1591 Jizera była nazywana Bražeckim vrchem albo Bražcem. Ta nazwa kojarzy się z Bražecką Vodą spływającą z południowego zbocza Izery i wpadającą do Bílej Desny. Obecna nazwa wywodzi się z XIX wieku i przetrwała do dnia dzisiejszego w niezmienionej formie. Niemiecka nazwa *Siebengiebel* w przekładzie znaczy „siedmioszczyt” (czeski *Sedmištit*) i wskazuje na wygląd potężnego granitowego torusa – rozczłonkowanego skaliska wystającego z samego wierzchołka góry. Skałki na szczycie to bardzo charakterystyczne granitowe „kupki”. W powrotnej drodze podziwiałem piękny zachód na zbiorniku wody pitnej Souš. Zapora znajdująca się na rzece Černé Desné została zbudowana w latach 1912–1915. Miała Góry Izerskie ochronić przed powodzią. Do siedemdziesiątych lat była używana w celach rekreacyjnych, ale od 1974 roku służy jako zbiornik wody pitnej dla regionu jabloneckiego. Zapora załaza obszar prawie 86 ha.

Wycieczkę zakończyłem

atrakcyjnym zjazdem rowerem do miejscowości Dolní Polubný. Wyjazd z tunelu (jest to trzeci tunel od strony Tanvaldu, o długości 163 m) kończy odcinek zębaty. Na tutejszej stacji do roku 1996 układ torów umożliwiał mijanie się pociągów, a „zębatka” systemu Abta przebiegała przez stację bez przerwy (obecnie listwa zębata zaczyna się ponownie dopiero kilkadziesiąt metrów za stacją). Atrakcją były tu skomplikowane zwrotnice systemu Abta, umożliwiające jazdę lokomotyw z kołem zębatym.

Krzysztof Pik



Zapora Souš



Szczyt Jizery



**Polub nas
na Facebooku!**

Jesienne kontrasty

Jechałem wyjątkowo wolno: nie dość, że na drodze było mnóstwo objazdów i padał deszcz, to na dokładkę nie obudziłem się do końca, w rezultacie kolega czekał na mnie ponad pół godziny. Mimo niekorzystnych prognoz namówiłem go na wyjazd, powołując się na konieczność wykorzystania dnia. Co prawda w południe staliśmy schowani przed deszczem pod leszczyną, później szliśmy w płaszczach, ale aura dała nam słoneczne popołudnie i bardzo ładne kolory zachodu.

Jak się później okazało, niejedyny to był kontrast tego dnia.

Plan miałem jeden: pokazać koledze te miejsca w moich Górach Kaczawskich, które ostatnio widziałem i które mi się podobały; chciałem podzielić się z Jankiem wrażeniami.

A zatem dwa niczym niewyróżniające się (poza swoją urodą) miejsca pod Bystrzycą, obydwie bez imienia i bez swojego śladu na mapach, ale właśnie dlatego bardziej moje, a jeśli odwiedzane, to chyba przez mieszkańców wioski i takich kaczawskich wędrowców, jak ja. Jedno jest ledwie małym wypiętrzeniem na stoku zaoranego wzgórza, rośnie na nim parę modrzewi i różnych krzewów, nie ma panora-



Okolice Buczyńca

micznego widoku, ale dla mnie jest tam tak ładnie, że byłem kilka już razy i jeśli Prządki pozwolą, będę jeszcze nie raz. Drugie miejsce znajduje się przy wiosce, z pobliskiej drogi polnej nie do zauważenia – ot, mały garbik ziemi porośnięty drzewami. Jednak gdy skręci się ku niemu i przejdzie na drugą stronę, pod dęby, okaże się nagle, że stoimy na górcie wznoszącej się kilkadziesiąt metrów nad domami wioski i że widok mamy ładny i daleki, aż za Bóbr. Parę już razy, kręcąc się po okolicy, widziałem to wzgórze i miałem chęć wejść na nie, ale jakoś nie było okazji. Dopiero tydzień temu, w jeden z tych nielicznych słonecznych dni moich włóczęg, usiadłem pod dębem. Słońce, pierwsze brązowe liście na drzewie, żołądź pod nogami, a przede mną dal – już to tylko połączenie wystarczy, by miejsce nabrało cech szczególnych. Dębowe Wzgórze.

Wioska Modrzewie mało jest znana, także mnie. Byłem w niej raz, zapamiętałem wąską szosę pnącą się stromo pod górę ciasną serpentyną, a tuż przy niej urwiste i kamieniste brzegi jaru z ciemnym strumieniem na dnie. Dzisiaj po



Okolice Grodowej

raz pierwszy jechałem tamtędy samochodem. Dziwnie się czuje kierowca jadąc szosą, na której nie wyminą się dwa pojazdy. Na ciasnym zakręcie, a takich jest tam parę, widać drogę dziesięć czy dwadzieścia metrów do przodu. Asfalt był mokry i pokryty liśćmi, a ja, powoli jadąc, wpatrzony przed siebie, myślałem co będzie, gdy nagle zza tych skał zasłaniających widok wynurzy się samochód... Na pewno nie odważyłbym się

jechać tam w zimie. Zaparkowałem na końcu stróżki asfaltu, przy ostatnim domu wioski (za uprzejmą zgodą właścicielki), ponieważ stamtąd jest żabi skok do paru ładnych miejsc przełomu Lipki, a ich urokiem chciałem się podzielić z towarzyszem.

Łagodne, wyrównane pługiem obłóci pola obniżają się tworząc ledwie widoczną, ale bliżej lasu pogłębiającą się dolinkę – jakby pole otwierało się na las, a ten wychodził naprzeciw wąskim cyplem drzew, wśród których bierze

początek strumień. Wąty, mdlejący w suche dni, wyraźniejszy dopiero sporo niżej, wśród mroku i kamieni. Tam widać jego potencjalną siłę: wszak kamieniste dno stromego jaru jest korytem strumienia, a więc i jego dziełem. Spływa po stromym zboczu przełomu Lipki i do niej wpływa kilkadziesiąt metrów niżej.

Słoneczny i sielski krajobraz rozległych pól o spokojnych i jasnych liniach, a obok dzikość i chłodna mroczność, ciasnota i kamienisty chaos. Właśnie to bliskie sąsiedztwo, niemal natychmiastowy przeskok, ten silny kontrast, czynią na mnie wrażenie.

Równie duże uczynił grzyb, którego zobaczyłem na zapomnianej przez ludzi dróżce prowadzącej brzegiem lasu: masywny, gruby prawdziwek o niemal dwudziestocentymetrowym kapeluszu. Prawdziwy prawdziwek o skórcie kasztanowego koloru, spodzie seledynowej barwy i nodze pęczniającej dołem. Nim ukurczyłem go (w ziemi został wyraźny dołek), obaj zrobiliśmy mu sesję zdjęciową. Nie pamiętam, ile lat temu znalazłem równie dużego prawdziwka. Tego dnia znalazłem ich jeszcze parę, także sporo podgrzybków. Po ususzeniu grzyby zapełniły dwa litrowe słoiki.

Zbocze przełomu trawersuje droga, która spodobała mi się od pierwszego wejrzenia. Swoim biegiem tworzy ładny kontrast: jest wygodna, pozioma, jasna, jak na leśną drogę, a przecina strome zbocze. Z jednej strony las pnie się w górę, miejscami bardzo stromo i trzeba zadzierać głowę, by wzrokiem sięgnąć najwyższych drzew, z drugiej opada ku Lipce. Gdy wygodnie i bez wysiłku idzie się tą drogą, zatrzymując się często i rozglądając, wyobraźnia podsuwa obraz męczącego podejścia bez wytyczonej drogi.

U wylotu przełomu, ledwie kilometr od wioski Nielestno, w zimie znalazłem dziw, który bardzo mnie zaskoczył. Przedzierałem się dnem przełomu, torując sobie drogę wśród przybrzeżnych chaszczki lub pokonując skaliste brzegi, gdy nagle zobaczyłem skały. Nie ma ich wiele, na długości trzydziestu metrów w rzędki stoją piaskowce wysokości kilku metrów. Dołem czerwone, pionowe ściany o bogatej rzeźbie, a na nich leży ciem-



na skała, najwyraźniej bardziej odporna na niszczące czynniki, skoro grubymi czapami wisi nad czerwonym podłożem. Przewieszania są wyraźne i płaskie, czynią wrażenie, zwłaszcza gdy stojąc nieco z boku zobaczy się las rosnący na tych kamiennych płytach. Całość przypomina najładniejsze miejsca Gór Stołowych, chociaż kolorystyką, także dzikością otoczenia, kaczańskie skały są ładniejsze.

Skały na dnie przełomu Lipki



Ze szczytu Grodowej

Z tamtego miejsca, bliskiego szosie, ale z niej niewidocznego i znanego niewielu, na szczyt Grodowej jest pół godziny drogi. Ten sam przełom, który oglądaliśmy z dna stojąc przy skałach, ten, na który wcześniej patrzyliśmy idąc drogą biegnącą połową jego wysokości, teraz oglądaliśmy ze szczytu.

Rozpogodziło się, słońce świeciło między jasnymi chmurami, świat wokół poweselał.

Na sąsiednim szczycie znowu, jak tydzień temu, zatrzymały mnie grzyby, tym razem opieńki, a wracaliśmy nieco inną drogą, bukowym lasem. Niskie już słońce oświetlało pnie drzew z boku, tworząc uroczy obraz. Widziałem, że Janek robił zdjęcia, bo i widok był ładny kolejnym w tym dniu kontrastem. Górą, wśród liści bukowych koron, była pełnia lata bez śladu jesieni, dołem natomiast, wokół ołowianych pni drzew, rozłożyła się jesień, brązowym kobiercem otulając ziemię.

Dokąd tylko można było, szliśmy brzegiem lasu, szukając grzybów wśród brzoź, a gdy wyszliśmy na łąkę, zwróciliśmy uwagę na piękne kolory słońca zachodzącego za izerskim wzgórzem. Przez krótki czas, ledwie minuty, było tak, jakby ono rozpylało w powietrzu miedziany, lśniący pył.

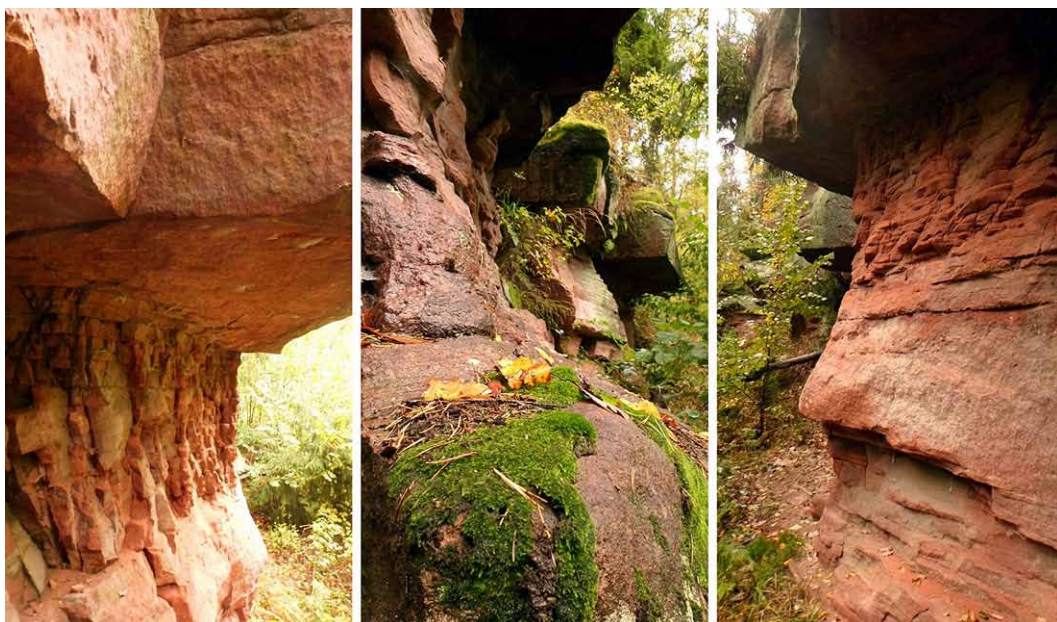
Późno doszliśmy do samochodu, już po zachodzie słońca, niewiele później wjechaliśmy w mrok październikowej nocy.

Dzień wykorzystałem.

Nazajutrz, idąc do pracy przed siódmą, ponad dachami bloków zobaczyłem Eos; przysiągłbym, że z przekorą uśmiechała się do mnie.

– Gdzie byłaś wczoraj? – zapytałem, ale usłyszałem tylko jej śmiech.

Krzysztof Gdula



Skały przełomu Lipki

CYTAT MIESIĄCA

Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość.

TVP Info. TV Republika:

Trzy turystki zostały zaskoczone przez zimę w masywie Czerwonych Wierchów w Tatrach Zachodnich.

Po skontaktowaniu się z centralą TOPR, ratownik dyżurny tłumaczył, że jeśli nie są ranne, dzień jeszcze długi i nie jest zimno, spokojnie mogą podjąć się samodzielnego marszu w dół. Te jednak zdecydowanie oddaliły tę perspektywę tłumacząc, że jedna z nich zapadła się głęboko w śniegu i nie jest (w stanie) wyciągnąć nogi.

Słowo komentarza. Zdarzenie miało miejsce w biały dzień przy znakomitej widoczności, przy której nie sposób zgubić drogę nawet na Czerwonych (zdradliwych) Wierchach. Wystarczy trzymać się szlaku i żadne wpadanie w głęboki śnieg nie grozi. Pytanie: jak można być zaskoczonym przez zimę w górach w kwietniu na wysokości 2000 m n.p.m.?

Bílovec – miasto, w którego herbie jest rozdarta strzała

Patrząc od strony Bramy Morawskiej tory kolejowe się tu kończą, a Sudety w tych stronach zaczynają. Śródmieście z licznymi interesującymi budowlami i gdzieś tam wąskimi uliczkami, oglądane z rejonu dworca kolejowego, majestatycznie wznosi się nad otoczeniem. Z niektórych miejsc widać stąd fragmenty Karpat, w tym Beskidu Morawsko-Śląskiego. Z innych znów zobaczyć można niektóre bliższe i dalsze wzniesienia oraz doliny Niskiego Jesionika. Tak m.in. jest w Bílovcu.

Do tytułowego miasta dojechać można np. autobusem lub pociągiem. Z węzłowej stacji kolejowej Studénka prowadzi doń, mająca 7 km długości, linia kolejowa. Po drodze, zza szyb okien pociągu można obserwować, jak dość płaska tu Brama Morawska ograniczona jest na horyzoncie pasem wzniesień Niskiego Jesionika. Pociąg stopniowo zbliża się do nich. Jeszcze przed granicami miasta wjeżdża w Sudety, choć Bílovec chyba nie w całości leży w Niskim Jesioniku, a tym samym w Sudetach. Częściowo jego obszar, w tym spory fragment śródmieścia, jest zaliczany jeszcze do Bramy Morawskiej. Nie wchodząc w rozważania o tym, należy zauważyć, że zdecydowanie większa część obszaru miasta bezdyskusyjnie leży w Sudetach.

Z rejonu dworca kolejowego w Bílovcu, panorama śródmieścia tytułowego miasta, wznoszącego się nad doliną Bílovki, prezentuje się interesująco. Z tej strony dominuje w niej pałac, okresowo dostępny do zwiedzania. Obok niego widać też część budynku z białą elewacją, mieszczącego, również dostępne do zwiedzania, muzeum. Nieco dalej rzuca się w oczy fragment wieży kościoła pw. św. Mikołaja. Wieża ta pełni też funkcję widokowej i okresowo, po dokonaniu wcześniejszej rezerwacji, jest dostępna do zwiedzania wyłącznie z przewodnikiem. Chcąc zwiedzić te oraz inne udostępniane obiekty w tytułowym mieście i okolicy, warto przed przybyciem tu zapoznać się z zasadami i okresami ich udostępniania turystom. Nie tylko te obiekty są interesujące. Już samo położenie centrum jest atrakcyjne. Być może niektórym skojarzy się ono z Bystrzycą Kłodzką lub Konicami, których centra (widziane z pewnych wszak tylko miejsc, ale jednak) wyraźnie górują nad otoczeniem. Podobnie centrum miasta Bílovec, widziane np. z rejonu dworca kolejowego i stanowisk odjazdowych dla autobusów, wznosi się nad okolicą. Tak jak w Bystrzycy Kłodzkiej, także i tu można zobaczyć schody pomiędzy wyżej leżącą częścią centrum miasta a tą niżej położoną.

Poza wspomnianym pałacem, budynkiem mieszczącym muzeum i kościołem pw. św. Mikołaja – przy którym turystów zainteresować mogą figury św. Jana Nepomucena i Panny Marii – centrum Bílovca obfituje też w inne interesujące obiekty. W niżej położonej jego części takim obiektem jest np. dawna kaplica szpitalna pw. św. Barbary. Pięknie prezentują się też niektóre wąskie uliczki oraz okazałych rozmiarów Slezské náměstí. W jednej z pierzei placu posadowiony jest budynek ratusza. Gdy się nań patrzy, w oczy rzuca się symbol w postaci skierowanej ku górze rozdartej strzały na czerwonym polu. Bílovec ma w herbie rozdartą strzałę na polu takiego właśnie koloru. Herb ten nawiązuje do założycieli miasta. Warto dodać, że strzała zakończona na dole dwoma wąsami występuje też i w innych herbach. Ale o tym można pomyśleć gdzie indziej. Bílovec ma bardzo długą historię, wszak powstał prawdopodobnie w XIV w. Przez pewien czas było to nawet miasto powiatowe. Rozwijało się tu m.in. sukiennictwo i tkactwo.

Pobytu w Bílovcu nie warto ograniczać tylko do historycznego centrum, terytorium miasta jest bowiem znacznie



Bílovec – fragment budynek ratusza

bardziej rozległe. Niektóre jego rejony są bardzo oddalone od zwartego centrum i nie łączą się z nim zabudową. Dzieli je od niego niekiedy widokowe tereny, a prowadzą do nich drogi ze śródmieścia. Warto poznać choć niektóre z tych części Bílovca, na turystów i tam czeka bowiem nieco atrakcji.

W jednej z nich (Bravinné – Dolní Nový Dvůr, choć miejsce to bywa określane czasem jako Bravinné – Horní Nový Dvůr), pośród pól uprawnych, jednak i blisko zabudowań, posadowiony jest wiatrak. Ścisłej – młyn wiatrowy. Pięknie położona drewniana budowla z zachowanymi skrzydłami przyciąga wzrok. Możliwe jest nawet jej zwiedzanie, warto jednak przed przybyciem tu zapoznać się z zasadami i terminami udostępniania. Drogą opodal młyna wiatrowego prowadzi fragment trasy rowerowej nr 6192. To niejedyna trasa rowerowa przebiegająca m.in. w granicach administracyjnych Bílovca. Odcinek ww. trasy od okolic wiatraka w stronę innej części miasta, którą jest Stará Ves, biegnie, miejscami utwardzoną, a miejscami gruntową drogą. Prowadzi ona m.in. z boczem dolinki cieką stanowiącego dopływ Bílovki. Poniżej drogi szumiący potok, zbocza dolinki miejscami porośnięte lasem, a miejscami pokryte łąkami. To górski obrazek, jaki zobaczyć można nieco nad domami Starej Vsi.

Stará Ves praktycznie łączy się zabudowaniami z rejonem zwartej z centrum części Bílovca. Rozciąga się ona w dolinie zasobnej w wodę wspomnianej Bílovki, która szumiąc przypomina, że to góry. Z niektórych posesji wiodą nawet schodki do koryta Bílovki. Na terenie Starej Vsi, w której zabudowie dominantę stanowi renesansowy kościół pw. św. Jakuba, rzeka przyjmuje, jak i na innych odcinkach, swoje dopływy. Rejon ujścia jednego z nich prezentuje się niezwykle interesująco. Ponieważ Bílovka płynie tam w obmurowanym korycie, woda uchodzącego do niej dopływu spada na samym swym ujściu z kamiennej obudowy koryta Bílovki. W pobliżu nad dopływem znajduje się mała, metalowa przeprawa. Tuż za nią, patrząc w górę dolinki tego potoczku, koryto wygląda na naturalne. Naprawdę warto to zobaczyć. Tym bardziej, że przechodzi tędy niebieski pieszy szlak turystyczny.

Wspomniany niebieski szlak to niejedyna piesza znakowana trasa turystyczna prowadząca m.in. w granicach opisywanego miasta. Obok dworca kolejowego i stanowisk odjazdowych dla autobusów rozpoczynają się wszak jeszcze dwa inne szlaki. Żółty prowadzi m.in. do wspomnianego już miasta Studénka. Czerwonym możemy natomiast pomaszerować w granicach Sudetów m.in. w stronę Bravinného. Na pewnym odcinku, poza granicami Bílovca, prowadzi on w rejonie oczek wodnych, będących prawdopodobnie pozostałością po wydobywaniu srebra. Z innego jego fragmentu, także poza granicami administracyjnymi opisywanego miasta, rozciąga się piękna panorama części Karpat, w tym Beskidu Morawsko-Śląskiego. Tak to już jest, że w tej części Niskiego Jesionika miłośnik Sudetów ma okazję rozmyślać się i w niesudetskich, też cieszących oczy, panoramach górskich. Słowem, jak trafimy na dobrą widoczność, będzie na co popatrzeć. Warto dodać, że fragmenty Beskidu Morawsko-Śląskiego można zobaczyć także z samego Bílovca, nawet z jego centrum. Z jeszcze innego odcinka wspomnianego czerwonego szlaku, ponownie prowadzącego w granicach miasta, już bliżej zabudowań Bravinného, widać rozległe połacie niektórych bliższych i dalszych wzniesień oraz dolin Niskiego Jesionika.

Wspomniałem o takich częściach opisywanego miasta jak Bravinné i Stará Ves. I to nie o wszystkim. O centrum też można by jeszcze sporo pisać. A przecież są i inne części Bílovca. I do nich warto się wybrać, będąc w mieście leżącym, przynajmniej w dużej części, na krańcu Sudetów, a w którego herbie jest rozdarta strzała.



Bílovec – Stará Ves; ujście do Bílovki jednego z jej dopływów i przeprawa przez niego

Bartosz Skowroński

Kto poleciał wyżej i dalej?

B było ich co najmniej dwóch – brat Cyprian, czyli Franz Ignatz Jeschke (1724–1775) – zakonnik i medyk-zielarz z Czerwonego Klasztoru w Pieninach nad Dunajcem i chłop, cieśla, w istocie wybitny samorodny rzeźbiarz – Jan Wnęk (1828–1869) z okolic Dąbrowy Tarnowskiej, czyli z Kaczówki i Odporyszowa. Obaj poświęcili życie, by opanować umiejętność ptaków – latanie. Sami zbudowali „aparaty”. Brat Cyprian startował (często we śnie) ze skalnych Trzech Koron, Jan Wnęk z dzwonnicy swojego kościoła. Obaj odnieśli sukces, zwyciężyli przestrzeń, z tą różnicą, że Wnęk przeleciał około 1350 m i zginął, a brat Cyprian z góry na dół, na dziedziniec swego Czerwonego Klasztoru. A może jednak w górę, nawet nad Tatry...

Obaj zostali w istocie zapomniani. O bracie Cyprianie opowiadają czasem flisacy na tratwach płynących Dunajcem. O Wnęku mało kto potrafi powiedzieć cokolwiek, tylko w Odporyszowie wspominają jego zakończony tragicznie wyczyn i są dumni ze swego pierwszego „lotnika”. W Muzeum Etnograficznym w Krakowie jest „aparat” do latania podobny do Wnękowego oryginału. Wnęk ponadto niemal naukowo opanował sztukę przewidywania i wykorzystywania warunków meteorologicznych, aby sfrunąć z wieży kościoła i polecieć nad polami i wzgórzami daleko...

O ile warunki meteo podczas próby lotu brata Cypriana nie są znane nawet w przybliżeniu, to warunki sprzyjające lotowi Wnęka w okolicy Dąbrowy Tarnowskiej zostały zbadane przez specjalistów dość dokładnie, współczesnymi metodami. Tym sposobem potwierdzono realnie jego wyczyn. Były to warunki doskonale znane współczesnym szybownikom, rekordzistom w przelotach sportowych, np. Pelagii Majewskiej, Jerzemu Makuli, Janowi Wróblewskiemu, Franciszkowi Kępcze, Wandzie Szemplińskiej, Jadwidze Piłsudskiej, Januszowi Centce i wielu innym z ponad 70 najwybitniejszych pilotów w historii polskiego szybownictwa. Większość z nich ma na swoim koncie rekordy światowe w przelotach, zasługi bojowe, jako lotnicy wojskowi i cywilni, osiągnięcia zawodowe, jako konstruktorzy samolotów i oblatywacze. Ich mistrzostwo lotnicze zostało potwierdzone medalami Lilienthala* i ponad 250 odznakami szybowcowymi z trzema diamentami.

Jan Wnęk, cieśla, rzeźbiarz i pionier lotnictwa, konstruktor i lotnik zarazem, w sztuce rzeźbiarskiej usiłował naśladować Wita Stwosza. Rzeźbami w drewnie ozdobił wiele wnętrz kościołów, a w latach 1865–1869 rozpoznał dla swoich potrzeb lotniczych warunki na wzgórzach i stokach wzniesień, nad polami i laskami w okolicy Odporyszowa. Jego wyczyn był tak niewiarygodny i zaskakujący, że do dziś nie jest uznawany za osiągnięcie lotnicze. Ot, ciekawostka regionalna, opowiadana raczej jako legenda niż relacja z zaistniałych faktów. Jan Wnęk często uznawany jest za doskonałego obserwatora przyrody i badacza zjawisk naturalnych, rzadziej przypominane są jego osiągnięcia artystyczne jako rzeźbiarza. Uczył się ciesielstwa od okolicznych majstrów, starszych w tym zawodzie. Konstruował budynki mieszkalne i gospodarcze, udoskonalał narzędzia rolnicze, dłużył w drewnie i... kamieniach.



Czerwony Klasztor

Brat Cyprian to człowiek uczony, przed wejściem do pienińskiego Czerwonego Klasztoru skończył studia medyczne we Wrocławiu. W historii nauk przyrodniczych zapisał się jako botanik i zielarz, zebrał około 300 roślin pienińskich i tatrzańskich, i usystematyzował je w zielniku zachowanym do dziś w Muzeum Narodowym w Bratysławie. Pasja zbieracza i badacza roślin górskich zaprowadziła brata Cypriana w nikomu nieznanne rejony Tatr i Pienin, co usprawiedliwia nazywanie go turystą górskim wędrującym w celach naukowych. Można powiedzieć, że była to kwalifikowana turystyka przyrodnicza... Dziś brat Cyprian uznawany jest jednak za legendarnego konstruktora i lotnika, gdyż pokusił się o „zbudowanie” skrzydeł, które miały mu umożliwić latanie nad górami i dolinami. Ale braciom kamedułow pod Trzema Koronami służył swoją wiedzą medyczną, prowadził aptekę, według dzisiejszych pojęć był homeopatą i zielarzem. Trudno stwierdzić, dlaczego jest wspominany częściej jako legendarna postać z Pienin niż jako pasjonat lotnictwa. Chyba tylko z barku przekonujących dowodów... W klasztorze brat Cyprian pełnił funkcję lekarza i aptekarza, leczył nawet poranione ptaki. Nie ma jednak zgody co do tego, czy mnich-lotnik zleciał ze szczytu Trzech Koron na dziedziniec klasztoru (i to dzięki pomocy... aniołów), czy wręcz przeciwnie – wzniósł się tak wysoko nad Pieniny, że doleciał aż nad Morskie Oko. A to jednak spory kawałek i znaczna różnica wysokości...

Było nie było, dokładności w tej opowieści brakuje. Faktem jednak jest, że brat Cyprian stał się postacią w literaturze polskiej, słowackiej, a także trafił do filmu jako symbol regionu tak bardzo bogatego w opowieści mniej lub bardziej prawdziwe. O przyrodzie i krajobrazach nie wspominając.

Jan Wnęk dokładnie przyglądał się skrzydłom aniołów, to był wzór, który chciał naśladować po swojemu. Wyrzeźbionymi w drewnie aniołami upiększał kościół w Odporyszowie. Obserwował też pilnie ptaki krążące nad wieżą dzwonnicy przy tym kościele, czy pływające w pobliskiej rzece – Żabnicy. Można powiedzieć, że studiował budowę i układ ich piór, zwanych uczenie lotkami i sterówkami. Rzeźbił nie tylko anioły o bardzo realistycznych skrzydłach, jak ptaki, które widział, ale także figury wielu świętych, żołnierzy z Golgoty, Matkę Boską i postacie Trójcy Świętej.

Brat Cyprian nie uprawiał sztuki snycerskiej. Zajmowała go raczej mechanika działania i budowa skrzydeł ptaków, ale we snach pojawiały mu się skrzydlate anioły. I stąd wzięła się legenda o jego wyczynach lotniczych nad Pieninami i Tatrami. Tak czy inaczej, obaj – i Jan Wnęk, i brat Cyprian – stali się postaciami występującymi w ogromnym teatrze krajoznawczym. Wypada ich poznać z wielu stron, może najlepiej w terenie, tam, gdzie latali, w miejscach, które ozdabiali swoimi wyczynami. Jeden jak najbardziej prawdziwymi, drugi – nieco mniej realnymi.

Tomasz Kowalik

* Medal Lilienthala, ku pamięci Otto Lilienthala, pioniera niemieckiego szybownictwa, ustanowiono w 1938 r. i do dziś jest to najwyższe międzynarodowe odznaczenie dla lotników szybowcowych. Przyznawane jest przez Międzynarodową Federację Lotniczą (FAI). Pierwszym polskim pilotem szybowcowym, którego wyróżniono tym odznaczeniem, był pilot, późniejszy generał brygady Tadeusz Góra. Medal otrzymał od FAI w styczniu 1939 r. za najlepszy światowy wyczyn szybowcowy – przelot otwarty 18.05.1938 r. na dystansie 577,8 km – pilotując szybowiec polskiej konstrukcji PWS-101. Wystartował z bieszczadzkiego lotniska polewego w Bezmiechowej, doleciał do Solecznik Małych koło Wilna. Jak podaje Wikipedia (dostęp 2.07.2018 r.), PWS-101 zbudowano w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej (według projektu inż. Wacława Czerwińskiego we współpracy z inż. Bolesławem Wiśnickim) w związku z Pierwszymi Szybowcowymi Mistrzostwami Świata na Wasserkuppe w 1937 r. Wytwórnia powstała w 1923 r. i była znana nie tylko z produkcji szybowców (pierwsze aeropłaty zbudowano już w 1924 r.), ale także z samolotów przeznaczonych dla polskiej armii.



Tężniopolis wyniesiony na piedestał

Od kilku dekad daje się zauważyć w Polsce wzrost zainteresowania niecodziennymi budowlami, jakimi są tężnie. Aktualnie istnieje ponad 20 miejscowości, w których na fali popularności wzniesiono te obiekty, m.in. w Konstancinie, Inowrocławiu, Gołdapi, Rabce, Uniejowie, Wieliczce, Grudziądzu, Dębowcu, Radlinie. W willi w Józefowie powstało nawet prywatne, rodzinne uzdrowisko. Funkcjonujące tam tężnie, jako nietypowy składnik architektury, znakomicie komponują się z bryłą domu. Z uznaniem dla coraz liczniej powstających w Polsce tężni, dla ich walorów zdrowotnych i atrakcyjności turystycznej, stwierdzam jednak, iż Ciechocinek był, jest i pozostanie hegemonem wśród polskich i europejskich tężniowych budowli. Przemawia za tym jego znaczenie historyczne, gigantyczne rozmiary i popularność, ale przede wszystkim fakt, iż dotychczasowy jego status jako obiektu zabytkowego, decyzją prezydenta RP z 22 listopada 2017 r. podwyższony został do rangi POMNIKA HISTORII. Ściślej, jest to kompleks, na który składają się tężnie, źródło „Grzybek” i warzelnia soli wraz z parkami Tężniowym i Zdrojowym, czyli terytorialnie znacząca część uzdrowiska. Tytuł ten przyznawany jest obiektom nieruchomym o szczególnej wartości historycznej, naukowej, utrwalonych w powszechnej świadomości i mających duże znaczenie dla dziedzictwa kulturowego Polski. Artefaktem jest unikatowy zespół budynków, urządzeń przemysłowych i terenów, dokumentujący na przestrzeni lat szczególnie charakter działalności przemysłowej i uzdrowiskowej Ciechocinka. Na tym jednak nie koniec. Według słów gestora ciechocińskich zabytków w osobie prezesa Przedsiębiorstwa Uzdrowisko Ciechocinek, podejmowane są dalsze działania mające na celu umieszczenie ich na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.



Herb Ciechocinka

Wśród istniejących w Polsce 91 Pomników Historii, sześć z nich znajduje się na terenie województwa kujawsko-pomorskiego. Są to: Ciechocinek, rezerwat archeologiczny w Biskupinie, stare miasto w Chełmnie, zespół zabytkowych spichlerzy wraz z panoramą od strony Wisły w Grudziądzu, zespół dawnego klasztoru Norbertanek w Strzelnie oraz Stare i Nowe Miasto w Toruniu.

Geneza długiej drogi do miejsca na cokole

„Tężniopolis” – takim poetyckim mianem określił Ciechocinek miejscowy poeta, piewca kurortu Janusz Żernicki. Pobrzmiewa w tej nazwie osadzona w realiach nasza odrębność uzdrowiskowa, ale jest też coś z greckiej architektury antycznej, a zatem wzorce z pogranicza doskonałości. Czyż „Tężniopolis” nie jest bardziej oryginalnym, godnym popularyzacji mianem Ciechocinka, niż powszechnie powielane, w odniesieniu do niemal wszystkich polskich kurortów, określenie „Perła uzdrowisk”?

Kujawskie uzdrowisko Ciechocinek, sytuuje się – jeśli przyjąć tylko miarę popularności i liczbę przebywających w nim kuracjuszy i turystów – w ścisłej krajowej czołówce w rankingu uzdrowisk polskich. Na pojemność Ciechocinka składa się 11 tysięcy stałych mieszkańców i około 4 tysiące miejsc w sanatoriach, szpitalach uzdrowiskowych, SPA, hotelach i pensjonatach.

Lecznictwo uzdrowiskowe i tężnie – takie skojarzenia wywołuje zwykle hasło „Ciechocinek” u pytanych gdziekolwiek w Polsce ludzi. Zabytkowe tężnie, symbol i herb miasta, są w istocie wizytówką i znakiem rozpoznawczym uzdrowiska. Zaś usytuowana nieco na uboczu, nad Wisłą, zabytkowa warzelnia soli, pozostaje jakby w ich cieniu. A przecież opowieści o historii Ciechocinka należałoby zaczynać zawsze od konstatacji: *Na początku była sól*. Nieprzerwanym rytmem, przez stulecia, poczynając od średniowiecza (piece warzelne), poprzez XIX wiek (tężnie wraz z warzelnią soli) do dziś, za sprawą dobrodziejstwa matki natury, pozyskujemy



Tężnie i warzelnia soli



Szpital uzdrowskiowy nr 1

1832, czyli cztery lata przed oficjalną datą – rokiem 1836, od którego liczy się działalność uzdrowskiowa Cieclocinka. Rodowód warzelnictwa soli i działalności uzdrowskiowej wywodzi się zatem z czasów, kiedy Polska była pod zaborem. Cieclocinek znalazł się wówczas pod zaborem rosyjskim i z tego okresu pochodzi odrestaurowana, czynna cerkiewka w stylu zauralskim z 1894 roku.

Cieclocińska sól warzona zawiera przydatne dla organizmu pierwiastki, jest ceniona w przemyśle spożywym. Ubocznymi jej produktami są szlam i ług leczniczy do zabiegów w warunkach domowych. Nie wszyscy jednak wiedzą, iż źródło „Grzybek”, łożnie i warzelnia soli, „żyjąc” w ścisłej symbiozie, stanowią produkcyjny ciąg technologiczny. W metodach procesu odparowywania i krystalizacji soli niewiele się zmieniło od początku istnienia warzelnii, jakby widniał u jej bram wirtualny zakaz: *Cywilizacji i postępowi technicznemu wstęp wzbroniony*. Paradoksalnie fakt ten jest dziś i w dalszej perspektywie jej atutem, a nie wadą. Warzelnia soli to obiekt zabytkowy objęty ochroną *in situ*, ze statusem Pomnika Historii, mimo że dzisiejsza produkcja warzelnii soli nie ma już tak fundamentalnego znaczenia, jak w pierwszych latach funkcjonowania zakładu. Ochrona *in situ*, według definicji łacińskiej, oznacza ochronę zabytku w jego naturalnym środowisku – zlokalizowanego i nieprzerwanie istniejącego na wolnym powietrzu, w tym samym miejscu od początku powstania, gdzie na przestrzeni lat nie dokonywano rekonstrukcji cywilizacyjnych lub były one minimalne. Tego typu zabytkowe obiekty, w odróżnieniu od parków etnograficznych, nazywane są SKANSENAMI. Wszystkie te wymogi spełnia CIECHOCIŃSKA WARZELNIA SOLI. Jako gorący zwolennik idei utworzenia także skansenu pod roboczą nazwą „Cieclociński skansen solowarstwa polskiego”, pisałem o tym w artykule „Postawmy na skansen” i dalej krzewię tę ideę. Tuszę, że przyznanie warzelnii soli w grudniu 2017 roku statusu Pomnika Historii stanowi miłowy krok w tym kierunku.

W dobie wysoko zaawansowanej cyfryzacji niemal każdej dziedziny współczesnego życia, takie obiekty, jak cieclocińskie łożnie i warzelnia soli, a także tam pracujący ludzie o mentalności analogowej, czyli, w dobrym tego słowa znaczeniu, jakby z innej epoki, stanowią nieocenioną wartość historyczną, materialną i kulturową. W klimat ten znakomicie wpisują się istniejące muzealne zbiory eksponatów związanych z solowarstwem i lecznictwem uzdrowskiowym, jakie oglądać można zwiedzając zabytkową warzelnię soli.

Sól niejedno ma imię. Według Starego Testamentu była symbolem wypróbowanej pewności i trwałości. Od



Na deptaku

najdawniejszych czasów oznacza wierność i gościnność. *Ze wszystkich ciał nie ma nic pożyteczniejszego nad sól i słońce* – skonstruował historyk i pisarz rzymski Gajusz Pliniusz Młodszy. Do dziś kultywuje się obrzędy i zwyczaje z nią związane, np. powitanie gości chlebem i solą. Twórca światowego skautingu, Baden Powell, zwykł był mawiać: *Sól jest gorzka, ale dodawana w małych dawkach podnosi smak różnych potraw. To jest chlorek sodu* – powie o soli chemik i oznaczy ją symbolem NaCl. *Krystaliczny minerał zwany halitem* – stwierdzi mineralog. A dla gospodyni domowej będzie to zwykła sól kamienna lub kuchenna. I wszyscy mają rację. Gospodyni domowej przypadnie jeszcze dokonanie wyboru między solą kamienną (np. z Kopalni Soli w Wieliczce lub Bochni) a solą warzoną (np. ciechocińską).



Zabytkowa cerkiewka

Gospodyni domowej przypadnie jeszcze dokonanie wyboru między solą kamienną (np. z Kopalni Soli w Wieliczce lub Bochni) a solą warzoną (np. ciechocińską).

Nazwa „tężnie” (dawniej „gradiernie”) pochodzi od dokonującego się tu procesu stężania solanki służącej do produkcji soli. Opracowaniem projektów i kosztów zajął się pochodzący z Freiburga w Saksonii inżynier i radca górniczy Jakub Graff, prof. Akademii Górniczej w Kielcach. Dwie pierwsze tężnie zbudowano w latach 1824–1833, a trzeci segment w 1859 roku. Długość poszczególnych segmentów tężni wynosi: I – 651 m, II – 724 m, III – 366 m. Wszystkie mają u podstawy szerokość 10 m, wysokość 15,8 m, a łączna ich długość to 1741 m. Z wyjątkiem podmurówki z cegieł przy tężni nr III, jest to konstrukcja wykonana całkowicie z drewna, bowiem sól w zawrotnym tempie koroduje części metalowe, natomiast dla drewna jest substancją konserwującą. Szkielet konstrukcji budowli stanowią grube belki z żywicznego drewna sosnowego i świerkowego, a wkopane w ziemię wsporniki – z pali dębowych. Środek szkieletu wypełnia około 50 tys. m³ faszyny cierniowej – krzewu tarniny, która z racji swej sprężystości najbardziej nadaje się do tego celu. O rozmiarach tej niezwyklej, gigantycznej inwestycji świadczy fakt, że budowa pochłonęła około 19 tys. m³ drewna. Była to wówczas wielkość około jednego promila masy drewna pozyskiwanego rocznie w całym kraju.

Po latach solnej prosperity następuje wzrost znaczenia Ciechocinka jako uzdrowiska, a tym samym przewartościowanie roli, jaką spełniają tężnie. Z dominującej dotychczas funkcji produkcyjnej, na czoło wysuwa się ich rola lecznicza. Długoletnie badania dowiodły, że w wyniku działania tężni, stanowiących wielkie, naturalne inhalatorium jodowo-ozonowe, klimat strefy okołotężniowej zbliżony jest do nadmorskiego. Zalecane przez lekarzy spacer przy tężniach działają uzdrawiająco na schorzenia górnych dróg oddechowych i tarczycy. Dziś sól produkuje się przede wszystkim dlatego, aby w drugim ogniwie ciągu technologicznego – przy tężniach – wytwarzać mikroklimat o znaczeniu leczniczym. To z powodu tych celów, mimo bezwzględnych praw ekonomicznych i współzależności między potrzebami lecznictwa uzdrowiskowego a deficytową z założenia produkcją soli, szlamu i ługu leczniczego, przyszłość tężni i warzelni soli jawi się w różowych barwach.

Zabytkowe tężnie ciechocińskie są w istocie jedną z nielicznych i największych budowli tego typu w Europie. Swoją leczniczą i produkcyjną funkcję spełniają nieprzerwanie od ponad 180 lat. Wychodzący na przełomie lat 1960–1970 tygodnik „Światowid” ogłosił ogólnopolski konkurs pod nazwą „Siedem Pomników Techniki Polskiej”. Wśród kilkudziesięciu pretendentów do tytułu, ciechocińskie tężnie uplasowały się w pierwszej dziesiątce. Prezentując tężnie tygodnik „Światowid” pisał: *Architektura jest w proporcjach swych szlachetna i piękna. Jest to także nie tylko zabytek techniki lecz i architektury, najbardziej użytecznej ze sztuk pięknych.* Mają również tężnie wiele prozaicznych i poetyckich określeń. Jednakże miano „Pomnik Techniki Polskiej”, a zwłaszcza podniesienie do rangi POMNIKA HISTORII, w sposób szczególny nobilituje ciechocińską budowlę do rzędu zabytków, a zarazem czołowych osiągnięć polskiej myśli naukowo-technicznej.

Bogumił R. Korzeniewski

Tak, jestem wierny Suwalszczyźnie

Po kilkudziesięciu latach znajomości nie umiem tej wierności ograniczać, zmieniać, odczyniać urok tej tak ważnej dla mnie krainy. To moja „ojczyzna krajoznawcza”, nie wstydę się tego wyznania, ale nie tu miejsce na udowadnianie, że to prawda. Zaczęło się to „zakochanie” w latach studenckich, gdy poznałem najkrótszą drogę z Suwałk do Starego Folwarku, Serw, Maćkowej Rudy, Bryzgła, Płociczna i wielu innych miejsc nad całymi Wigrami.

Wtedy nie wiedziałem, że to uczucie i pamiętanie drobiazgów z tamtych stron będzie trwało w mojej świadomości tyle lat. Ale mam te obrazy pod powiekami i niech tak pozostanie. A potem, gdy poznałem tak osobliwe miejsce, jak Turtul, stary młyn nad stawem zatrzymanej Czarnej Hańczy i źródlika Szeszupy, Rutkę i to, co jest najważniejsze w Suwalskim, pierwszym naszym, Parku Krajobrazowym, nie było takiej mocy, żebym spełnił życzenie Mickiewicza z wiersza „Do Maryli”: *Precz z moich oczu – posłucham od razu, / precz z mego serca – i serce posłucha, / precz z mej pamięci – nie, tego rozkazu moja ni twoja pamięć nie posłucha.* Ja pamiętam, Suwalszczyzna (choć to też kobieta), ma inne zmartwienia, niż pamiętać o mnie...

Takiego bogactwa, jak na północno-wschodnich kresach Podlasia, tam gdzie Zielone Płuca Polski, nie uświadczysz nigdzie. Kto nie wierzy, niech spróbuje spędzić na Suwalszczyźnie kilka dni. Choćby przewędrować po niej kilkanaście kilometrów, przespąć kilka nocy w namiocie, pensjonacie czy u gościnnych przyjaciół, jeśli ich tam ma... A trudno nie mieć, jeśli się ich poznało i odpłacało, nie raz i nie dwa, tylko słownym podziękowaniem.

A więc Suwalszczyzna, czyli bogactwo krajobrazów, przyrody, jej szat w zmiennych porach roku. Do poznawania i podziwiania pieszo, na rowerze, na kajaku, konno, na nartach. Nie ma w tym przesady, nie ma ograniczeń, chyba że komuś się spieszy, by wrócić tam, gdzie znacznie mniej ciekawie i niezbyt pięknie. I wtedy gdy (...) *człowiek wejdzie w las, to nie wie, / czy ma lat pięćdziesiąt, czy dziewięć, patrzy w las jak w śmieszny rysunek /... przeciera ośleple oczy i... na serce kładzie mech jak opatrunek.* Nic to, że Konstanty I. Gałczyński napisał to na Mazurach, wiele kilometrów od Suwalszczyzny. Nie da się uwierzyć, że to nie to samo, lub bardzo podobne co najmniej...

Powiadają *Suwalszczyzna, kraina jak baśń*, bo to rzeczywiście kraina baśniowa, tak niezwykajna, że aż „do zakochania”. W ostatnich latach ważne miejsce zajął w turystyce rower terenowy. Przekonywać, że Suwalszczyzna to właśnie dla rowerzystów wymarzone trasy, gęste, jak w naszym ciele naczynia krwionośne, to „prawić prawdę” (jak mawiają na... Podhalu). Szlaków jest oficjalnie kilka, a w myśl zasady „dla każdego coś miłego” – atrakcji pod dostatkiem. Chociażby dłuższa i trudniejsza trasa, jak część Międzynarodowego Szlaku Rowerowego R 11 albo Pierścień Rowerowy Suwalszczyzny, albo Podlaski Szlak Bociani (pisaliśmy o nim w NS e-129/325).

Kto nie spróbował – niech żałuje. Warto mieć Paszport Wędrowca, a w nim miejsce na 24 pieczątki pamiątkowe z łążęgi czy jazdy przez Suwalszczyznę. Ten swoisty dokument regionalnego wędrowania można uzyskać w miejscach noclegu lub urzędach Informacji Turystycznej, a także w Wigierskim Parku Narodowym w Krzywem lub Suwalskim Parku Krajobrazowym w Malesowiznie-Turtulu. Dla wprawnych i zaawansowanych rowerzystów godna polecenia jest jednodniowa trasa rowerowa „Wokół Wigier”. To tylko 75 km, a na trasie wiele wrażeń, widoków, zabytków (zwłaszcza klasztor kamedułów na półwyspie, gdzie w 1999 r. nowcował polski papież), a przede wszystkim przyroda i jedno z najsławniejszych polskich jezior w całej krasie.

Jest też siedmiodniowy szlak rowerowy „Błękitna Wstęga Suwalszczyzny”, który pozwala dokładniej poznać to, co w tym regionie najważniejsze. A mianowicie w Suwałkach: Muzeum Okręgowe, Muzeum im. Marii Konopnickiej, Centrum Sztuki Współczesnej & Galeria Andrzeja Strumiłły, wybitnego twórcy – i to wszystko przy jednej ulicy Kościuszki pod numerami 81, 45 i 31. A gdy skusi nas gościnnie Augustów, który nosi imię po królu Stanisławie Augustie Poniatowskim, to koniecznie trzeba „zaliczyć” tam Muzeum Kanału Augustowskiego i część tego wspaniałego dzieła inżynierskiego Ignacego Prądzyńskiego, znanego jako Szlak Papieski. Ale wtedy już nie na rowerze, ale raczej w kajaku.

Do tzw. stałych fragmentów gry należy wędrowka rowerowa przez Suwalski Park Krajobrazowy (101 km) z Suwałk do Suwałk. Po drodze są miejsca „kultowe”, a więc np. rezerwaty: Głazowisko Bachanowo nad Czarłą Hańczą, Jezioro Hańcza (ma ponad 50 lat!), Głazowisko Łopuchowskie; molenna, czyli maleńka świątynia

staroobrzędowców w Wodziłkach, Ciosowa Góra, czyli suwalska Fudzi, kiedyś porośnięta wiekowymi cisami.

Wspomniany Kanał Augustowski, zbudowany ponad 170 lat temu, łączy naszą Wisłę z litewskim Niemnem. Ale komu kajakowanie miłe, powinien wybrać się na 100-kilometrowy szlak Rospuda, tam zażyje rozkoszy przebywania w „okolicznościach nieskażonej przyrody”, a także pozna swoistą atrakcję, jaką nieraz bywają roje komarów. Gdyby tego było za mało, to jest jeszcze szlak kajakowy Szeszupą (prowadzący wodami Polski, Litwy i rosyjskiego Obwodu Kaliningradzkiego) oraz spływ niemal górską Marychą, co zwykle zajmuje 3 dni. Dla wyczynowców do „zaliczenia” w kajaku jest jeszcze klasyczny od trzech czwartych stulecia szlak wodniaków – spływ Czarną Hańczą (3–5 dni, jeśli się nie pobłądzi na rozlewiskach, zakolach, szuwarach i szybko odnajdzie „wyjście” z wód jeziora Wigry).

Jeśli obierzemy kierunek z Suwałk przez Jeleniewo do Wiżajn, znajdziemy się w gminie na skraju Rzeczypospolitej, gdzie w miejscowości Bolcie jest jeden z nielicznych tego rodzaju punktów geograficznych, czyli trójstyk granic – Polski, Litwy i rosyjskiego Obwodu Kaliningradzkiego – oznaczony symbolicznym granitowym obeliskiem. W tym miejscu znajduje się punkt odpoczynku na szlaku rowerowym „Green Velo” (wiodącym aż z południa naszego kraju, o długości ponad 2,1 tys. km). Koneserom wypada zasugerować podziwianie starej, osobliwej budowli, czyli wysokich na 36 m wiaduktów dawnej linii kolejowej w Stańczykach. Dotrzeć tam można np. szosą z Przerośli, przez dorodną Puszcę Romincką, w unikatowym szpalerze jarzębów szwedzkich.

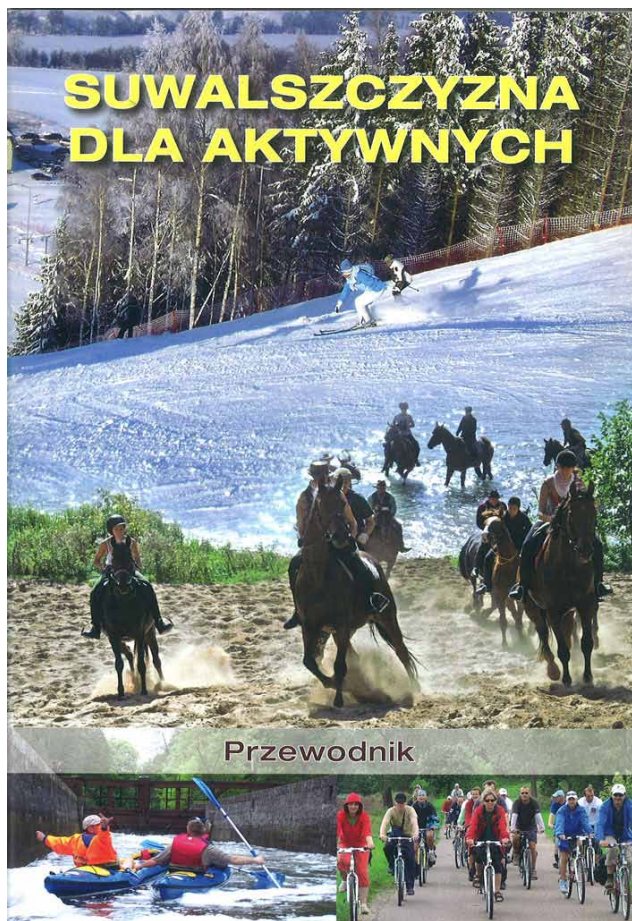
Kto zapragnie sięgnąć do bogatych tradycji polsko-litewskiego pogranicza, powinien odwiedzić Litewskie Centrum Kultury Ludowej w Puńsku oraz tamże Muzeum Etnograficzne im. Józefa Vainy (ul. Szkolna 67). Do ważnych obiektów sakralnych Suwalszczyzny zalicza się bazylikę rzymsko-katolicką w Sejnach, gdzie znajduje się rzadkiej wartości zabytek – tzw. szafkowa rzeźba gotycka Matki Bożej, a w jej wnętrzu obraz Trójcy Świętej.

Odrobina krajoznawczej staranności pozwoli na poznanie choćby niewielkiej części działalności ośrodka „Pogranicze – Sztuk, Kultur, Narodów” z siedzibą w Sejnach, stworzonego w 1991 r. Miasto kresowe chlubi się tą placówką prowadzącą działalność w Domu Pogranicza, Dawnej Jesziwie i Białej Synagodze w Sejnach oraz w kompleksie dworskim w Krasnogrudzie, należącym niegdyś do rodziny Czesława Miłosza, gdzie powstało Międzynarodowe Centrum Dialogu.

Ważne w działalności Ośrodka są pracownie: Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza, Edukacji Regionalnej, Kronik Sejneńskich, Muzyczna, Dokumentacji Przedsięwzięć, Archeologiczna i Wystawiennicza. Sławę Ośrodkowi przynoszą też: Teatr Sejneński, Orkiestra Klezmerska Teatru Sejneńskiego, Teatr Dziecięcy oraz redakcja wydawnictwa „Almanachu Sejneńskiego”.

To kulturalny olbrzym w powiatowym miasteczku kresowym, godny poznania nie tylko podczas jednej wycieczki czy kilkudniowego krajoznawczego „spożywania” krajobrazów, przyrody i kultury Suwalszczyzny.

Tomasz Kowalik



NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Ścieżka koronami drzew

Tuż przy granicy Podhala i Spisza – niewiele ponad 10 km po stronie słowackiej – znajduje się miejscowość Ždiar, w języku polskim Zdziar (także pisany przez Ž lub Ž), najbardziej popularny ośrodek turystyczny u podnóża Tatr Bielskich i Magury Spiskiej. Słowacy, którzy sporo stracili na konkurencyjności wskutek powstania po naszej stronie nowoczesnych ośrodków termalnych, próbują przyciągnąć turystów nowymi pomysłami. Kreatywności im nie brakuje.

Na wzór podobnych tras turystycznych w Niemczech, Danii czy Czechach zbudowali ścieżkę koronami drzew (*chodník korunami stromov*) w Bachledowej Dolinie, pomiędzy Zdziarem a Kotliną Tatrzańską. Jeszcze bez pełnej infrastruktury (kolejka gondolowa w trakcie budowy, droga dojazdowa wymaga przebudowy, podobnie parkingi), a już cieszy się ogromnym zainteresowaniem i można za organizatorami wybiec w dziesiątkę. Pominę całkowicie zdanie ekologów, ogólnie osób zajmujących się ochroną środowiska, bo inwestycja zaistniała na mapie turystycznej i przyciąga coraz



Pawilon wejściowy



Ścieżka widziana z wieży



więcej osób. Moim zadaniem – z reporterskiego obowiązku – jest jej opisanie, nic więcej.

Ścieżka otwarta została stosunkowo niedawno, 29.09.2017 r., i jest bardzo świeżą ofertą. Jej budowa trwała trzy miesiące, trasa

Podpory pod ścieżką

liczy sobie wraz z wyjściem na wieżę 1234 m. Czyżby ktoś specjalnie ją tak zaprojektował? Łatwo zauważyć wyliczankę – 1, 2, 3 i 4!

Przybliżę parametry ścieżki i wieży, bo wybierając się na wycieczkę powinniśmy wiedzieć, co nas czeka, poza obłędnymi widokami na Tatry Bielskie i Magurę Spiską. Na końcu wspomnę o materiale, z którego trasa została zbudowana.

Ścieżka liczy 603 m, położona jest na wysokości 1149 m n.p.m. Najwyższy jej punkt znajduje się 24 m nad ziemią, ma 21 podpór, największy pień drzewa na podporze ma 25 m długości i grubość 48 cm, szerokość ścieżki wynosi 180 cm, wzniesienia i spadki nie przekraczają 6%, co praktycznie jest nieodczuwalne.

Na trasie znajdują się przystanki edukacyjne z postarami opisującymi drzewa, jak i mieszkańców lasu. Spodobał mi się dowcipny, ale jak najbardziej poważny opis głuszcza, który może zaatakować człowieka! Zatem spotkanego osobnika nie wolno... głaśkać, dotykać, zbliżać się i robić gwałtownych ruchów! Na ścieżce znajdują się również trzy – jak określają organizatorzy – „zakątki adrenalinowe”. To nic innego, jak znajdujące się w podeście miejsca ruchome z ażurowym podłożem, wymagające utrzymania równowagi.

Wysoka na 32 m wieża ma średnicę 20 m, najwyższy taras zbudowano na wysokości 1175 m n.p.m., a znajdująca się tam siatka (o powierzchni 88 m²) jest określana, dosadnie i prawidłowo, jako „adrenalinowa”, bo nie każdego stać na wejście na nią, a jak już to zrobi, to adrenalina mocno wzrasta i wielu potrzebuje pomocy, by powrócić na podest. Z wieży na sam dół prowadzi zjeżdżalnia rurowa o długości 67 m (w maju jeszcze nie można było z niej korzystać).

Wspomnę jeszcze o materiale, z którego ścieżka została zbudowana. Na konstrukcje wsporcze wykorzystano pnie daglezi zielonej (*Pseudotsuga menziesii*), znanej z zachodniej części Ameryki Północnej, w Europie rosnącej na północy i stamtąd pozyskanej (w Polsce daglezia jest gatunkiem introdukowanym). Natomiast na poręcz i posadzkę, bez obróbki powierzchniowej, wykorzystano modrzew europejski (*Larix decidua*), pozyskany ze stanowisk słowackich. Dodam, że w Polsce naturalne siedliska modrzewia znajdują się w Tatrach.

Jak oceniają turyści zbudowaną ścieżkę? Pierwsze badania sondażowe wykazały, że jako okropną oceniło ją 6% pytanych, a złą – 9%. Pozostali uznali ją za dobrą lub bardzo dobrą. Pierwsze miesiące jej użytkowania charakteryzują się dużą frekwencją, która z czasem będzie rosła.



Jedni patrzą w dół, inni wolą nie...



Wieża od dołu z widokiem na siatkę

Ryszard M. Remiszewski

Wodospad w Leszczu

Wodospad w górach czy na wyżynach, to nic szczególnego. Mniejszych lub większych znajdzie się trochę w naszym kraju. Kilka jest powszechnie znanych, jak tatrzańska Siklawa, wodospad Kamieńczyk, Wilczki w Międzygórzu, Zaskalnik koło Szczawnicy, wodospad w Sopotni Wielkiej, na Łomniczance w Łomnicy-Zdroju, na Mosornym Potoku w Zawoi i kilka innych. Na nizinach trudno o takie atrakcje krajobrazowe, choć na strumieniach i rzeczkach nie brak niewielkich kaskad lub bystrzy. Ot, choćby niemal metrowy próg na Pilawie znany wielu kajakarzom. Penetrując podtoruńskie jary, parowy i wąwozy natkniemy się także na niewielkie progi, na których wesoło szumi woda. Całkiem niedaleko od Torunia, w bocznej odnodze Wąwozu Leszczyńskiego szumi, i to całkiem nieźle, niewielki wodospad. Główny spad mierzy 1,65 m, przed nim jest jeszcze niemal półmetrowy próg. Łącznie daje to około dwumetrową różnicę wysokości. Myślę, że to nie mała, jak na teren nizinny. Oczywiście efekt spadku wody zależy od opadów, jak w przypadku każdego wodospadu. W okresie suszy nawet największy wodospad prezentuje się marnie, tu wspomnę kilkunastometrowy (dolny spad) Wodospad Klacki (*Klacký vodopád*) w Małej Fatrze, który ledwo „ciurkał”, tak że można go było przegapić przechodząc obok. Najefektowniej wygląda na przedwiośniu podczas roztopów.

Koło wodospadu w Leszczu przechodziłem wielokrotnie, nie zdając sobie sprawy z jego istnienia. Owszem, szumiało coś obok w strumieniu, ale po to jest strumień, żeby szumiało. Nie zwracałem na to uwagi. Któregoś razu, gdy byłem tam po intensywnym deszczu, ów szum zdawał się znacznie mocniejszy i głośniejszy niż zwykle. Zaciekawiony opuściłem ścieżkę w wąwozie i zajrzałem do jaru obok, w którym płynie strumień. Jakież było



Droga rowerowa z Torunia w Świerczynkach

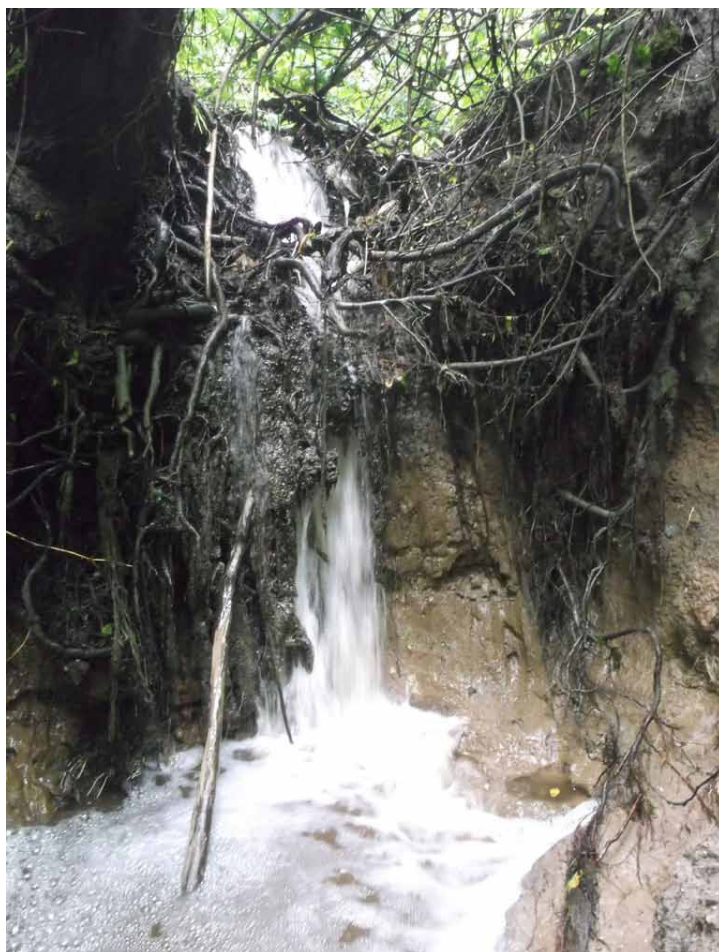


Tunel rowerowy na trasie

moje zdziwienie, gdy zobaczyłem wodę spadającą z wysokiego progu. Wodospad ukryty w cieniu dużego drzewa może być niezauważony. Spad ocenilem wstępnie na około 2 m. Później nastąpił dwutygodniowy okres bez opadów. Wybrałem się ponownie do Leszcza, by zmierzyć wodospad. Słaby przepływ wody pozwolił na zmierzenie wysokości bez konieczności brania przymusowego prysznica. Czekałem jednak na deszcz, który przede wszystkim potrzebny był uprawom, a przy okazji strumieniom i potokom, by wyglądały efektownie. Wreszcie przyszło kilka trochę deszczowych dni i ponownie pojechałem do Wąwozu Leszczyńskiego. Udało się zrobić kilka zdjęć z większym strumieniem spadającym z naturalnego progu.

Jak dotrzeć do wodospadu. Najlepiej na rowerze, korzystając z asfaltowej drogi rowerowej wiodącej z Torunia do szosy 551 koło Unisławia. Droga zaczyna się w centrum miasta na skrzyżowaniu ul. Bema i Szosy Chełmińskiej. Początkowo biegnie przez miasto wzdłuż Szosy Chełmińskiej przez Chełmińskie Przedmieście i dzielnicę Wrzosy, dalej wzdłuż drogi 553. Po kilku kilometrach, już za miastem, wchodzi na trasę dawnej linii kolejowej Toruń – Unisław. Jedziemy bądź w wykopie, bądź po nasypie. Mijamy wieś Różankowo i dojeżdżamy do Świerczynek. Warto odbić kilkadziesiąt

metrów w bok i obejrzeć, choćby z zewnątrz, gotycki kościół z przełomu XIII i XIV w. Przemierzamy się dalej drogą rowerową, mijamy dawną stację kolejową w Pigzy i po kilkudziesięciu metrach zjeżdżamy z drogi rowerowej w lewo, na drogę do wsi Leszcz. Podążamy nią niewiele ponad kilometr do placyku z przystankiem autobusowym (autobusu szkolnego – brak stałej komunikacji). Dalej jedziemy wąską ścieżką, mijając plac zabaw i widoczne po lewej zabudowania majątku oraz budynek dawnego młyna wodnego. Ścieżka zagłębia się w płytki zrazu wąwóz, pojawiają się zielone znaki pieszego szlaku. Około 250 m od placyku z wiatą przystanku, po lewej stronie należy szukać wodospadu. **Miejsce jest dość charakterystyczne, poznamy je po drzewie ze znakiem szlaku. Strumień i wodospad znajdują się w jarze po lewej stronie – należy wejść na skarpę z lewej strony ścieżki i z niej wypatrywać wodospadu.** 150 m dalej na „skrzyżowaniu” wąwozów jest miejsce odpoczynkowo-piknikowe z wiatą i stolikami. Zatrzymują się tam wycieczki piesze i rowerowe, jest to stały punkt żywieniowy podczas maratonów MTB. Wycieczkę rowerową kontynuujemy przejeżdżając przez stylowy ceglany mostek na strumieniu i pokonując wymagający



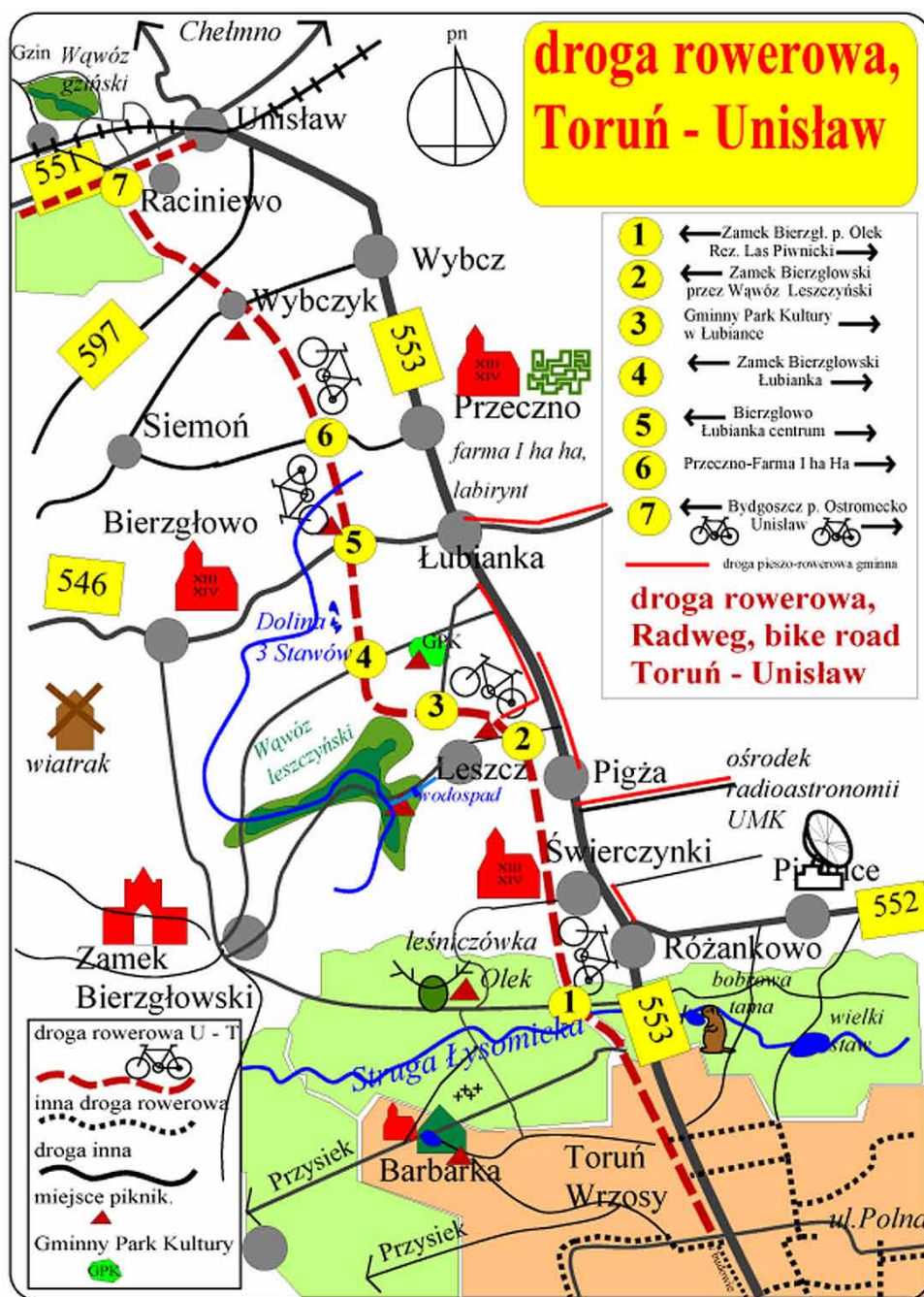
Wodospad w Wąwozie Leszczyńskim



Miejsce piknikowe na szlaku

podjazd w wąwozie. Ten wąwóz to ulubione miejsce rowerzystów górskich. Uwaga na zjeżdżających z przeciwnego kierunku! Dalej w stronę zamku wiedzie wpierw szutrowa, później asfaltowa droga. We wsi Zamek Bierzglowski znajdziemy sklep, gdzie można uzupełnić płyny i kalorie. Po obejrzeniu zamku jedziemy w kierunku Torunia ostro zjeżdżając przez wieś (na wschód) drogą asfaltową, później gruntową, przez las (jest ona udostępniona do ruchu kołowego – rzadko, ale można tam spotkać samochód). Dojeżdżamy do leśnictwa Olek, skąd można, kierując się na północ, jechać do miasta drogami leśnymi. Można także, posuwając się dalej prosto, dojechać do drogi 553 i biegnącej przy niej drogi rowerowej, z której korzystaliśmy jadąc z Torunia. Przejeżdżamy pod wiaduktem kolejowym, skręcamy w prawo na północ i wygodną „dedeerką” wracamy do Torunia.

W tym regionie, znacznie większy od leszczyńskiego wodospad znajduje się w bydgoskim Leśnym Parku Kultury i Wypoczynku w Myślęcinku, ale



jest to twór sztuczny. Na zboczu wysoczyzny ułożono wapienne bloki skalne i doprowadzono wodę. Całość wygląda całkiem ładnie. Drugi **naturalny** wodospad o podobnej wielkości do leszczyńskiego znajdziemy po drugiej stronie Wisły, w jarze opodal grodziska Talerzyk w Topolnie. Zaprezentuję go w którymś z jesiennych odcinków „Ciekawostek”.

Juliusz Wystouch

Odnoga wąwozu w kierunku Zamku Bierzglowskiego

Tragiczna wyprawa na Mont Blanc

Gdy w lutym udało mi się wejść na Kilimandżaro, pomyślałem sobie, że może warto zastanowić się nad zdobyciem najwyższej góry Europy. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Mont Blanc to góra wymagająca, trudna technicznie. Wydawało mi się, że jestem w stanie zrealizować ten cel.

Tak jak poprzednio, przejrzałem oferty biur proponujących podobne wyprawy i wybrałem to, które wydało mi się najbardziej doświadczone, jeśli chodzi o wyjścia na ten właśnie szczyt. Zanim wyruszyłem w Alpy, zwyczajowo trochę powędrowałem sobie po naszych Karkonoszach. Niestety, nie miałem zbyt dużo czasu, by rozruszać organizm. Ale może to i dobrze, gdyż po górach chodzę niemal codziennie. Oczywiście po Karkonoszach. Dostałem informację, że jest wolne miejsce w ekipie mającej wyruszyć w Alpy 25 czerwca 2018 r. Trzeba było skompletować potrzebny sprzęt. Ponieważ nie była to moja pierwsza wyprawa, w zasadzie większość wyposażenia miałem w szafie. Wystarczyło tylko uzupełnić je o kilka nietypowych drobiazgów. Z biura otrzymałem listę wymaganych rzeczy. Najważniejsze, oprócz odpowiednich ubrań, były sztywne buty, pasujące do nich raki, kije, czekan, kask, ciepły śpiwór, uprząż i bazowy plecak.

Dla jasności powtórzę, że po górach chodzę prawie codziennie. Tylko w tym roku poprowadziłem kilkadziesiąt wycieczek, więc jeśli chodzi o wytrzymałość mojego organizmu, myślę, że jest wystarczająca, by podjąć takie wyzwanie. Co prawda od jakiegoś czasu chodzę nieco wolniej niż kiedyś, ale zawsze docieram do celu. Zresztą wejście na Kilimandżaro nauczyło mnie rzeczy, wydawałoby się, niemożliwej. Wcześniej nigdy nie przypuszczałem, że można tak wolno poruszać się po górach. Drobne, spokojne kroczki w warunkach ograniczonego dostępu do tlenu sprawdzają się znakomicie.

Gdy tylko spakowałem potrzebne rzeczy, dotarłem w umówione miejsce i dołączyłem do pozostałej ekipy ruszającej w Alpy. Okazało się, że jest nas, wraz z prowadzącymi, 13 osób. Ponieważ całe życie liczba „13” była dla mnie szczęśliwa, nie przeszkadzało mi to. Późno w nocy dotarliśmy do Chamonix we Francji i rozbiliśmy namioty w Les Houches. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Po drodze zostaliśmy zapoznani z programem i każdy w kilku zdaniach opowiedział coś o sobie, o swoich osiągnięciach, jeśli chodzi o góry. Okazało się, że wszyscy mają jakieś doświadczenie górskie. No, może z jednym wyjątkiem. Jednak nie powinno było to mieć specjalnego znaczenia, gdyż jedyna kobieta w zespole chciała podejść z nami tylko do schroniska Tête Rousse i tam pozostać, by oczekiwać na nasz powrót ze szczytu.

Ranek powitał nas piękną, słoneczną pogodą. Góry widać było jak na dłoni. Zapowiadał się ładny dzień. Zostaliśmy zaopatrzeni w odpowiednią ilość prowiantu. Plecaki zostały odpowiednio odchudzone. Wszystko, co zbędne podczas górskiej wspinaczki zostało wypakowane i pozostawione w bazie. W dobrych nastrojach przeszliśmy kilkaset metrów do



dolnej stacji kolejki, którą wjechaliśmy na wysokość 1800 metrów n.p.m. Co prawda wagonik, do którego nas zaproszono wyglądał jak ze skansenu, ale wytrzymał. Szczęśliwie dotarliśmy na górę. Wreszcie miał rozpocząć się marsz na szczyt. Chociaż tak naprawdę był to dopiero pierwszy dzień. W sumie mieliśmy iść prawie tydzień.

Ruszyliśmy wąską ścieżką po zboczu i po jakiejś godzinie marszu dotarliśmy do stacji tramwaju górskiego. W oczekiwaniu na odjazd kolejki na trawie leżało kilkadziesiąt osób.



Nie było dużego tłoku, ponieważ sezon zaczyna się na początku lipca. To dobrze, bo nie ma nic gorszego, jak wymijanie się grup na stromym zboczu. Po krótkim odpoczynku poszliśmy widoczną ścieżką wijącą się wśród coraz rzadszych krzaków. Posuwaliśmy się szlakiem krajobrazowym mającym dostarczyć wielu wrażeń. Faktycznie, gdy na chwilę przystanęliśmy i obróciliśmy się do tyłu, widoki były urzekające. Widzieliśmy, jak część ludzi podąża torami kolejki. Było to trochę dziwne, gdyż tuż przy stacji widać wielkie ogłoszenie, że to nie jest trasa turystyczna i nie wolno tamtędy chodzić.

Nasza ścieżka stawała się coraz bardziej stroma i coraz bardziej pokręcona. Po pewnym czasie przed nami widać było same serpentyny. Oczywiście wynikało to z faktu, że na stosunkowo krótkim odcinku musieliśmy pokonać prawie kilometr przewyższenia. Szybko okazało się, że niektórym nie pasuje spokojne wspinanie się pod górę i podzieliliśmy się na dwie grupy. Wynikło to tak jakoś naturalnie. Pierwsza grupa złożona z 9 osób praktycznie parła do przodu jak małe parowoziki. Nic nie mogło ich powstrzymać. To nic. Mieli swojego prowadzącego, niech leca. Będzie spokój. Pozostaliśmy we czwórkę. Prowadził nas najbardziej doświadczony człowiek, który na szczycie był już kilkadziesiąt razy. Dostosował swoje tempo do naszego. Ja, z przyzwyczajenia po moich ostatnich wypadach, szedłem powolutku, krok za krokiem, nie ulegając żadnym naciskom. Po prostu mam swoje tempo. Pozostałe dwie osoby, para narzeczonych, trzymali się razem. Nasze tempo było w miarę stabilne. Chociaż czasami znajdowałem się na końcu grupy, czasami w środku, a czasami szedłem jako pierwszy. Wkrótce doszliśmy do miejsca, w którym znajdował się ustawiony drogowskaz z tabliczką informującą, że oto jesteśmy na wysokości 2480 metrów nad poziomem morza. Dobra nasza. Dzień mieliśmy zakończyć na około 2800 m, więc pozostało już nam bardzo niewiele. Jedyne, co trochę przeszkadzało, to strasznie grzejące słońko. Już się posmarowaliśmy kremem z filtrem i założyliśmy okrycia głowy, nie powinno nas zateplić.

Po odsapnięciu podążyliśmy dalej. Teraz dopiero zaczęły się serpentyny. Robiło się coraz bardziej stromo. Spod nóg ciągle osuwały się mniejsze i większe kamienie. Pojawił się pierwszy śnieg. Nie było to nic wielkiego – ot, takie łachy śnieżne. W zasadzie o tej porze nie powinno tutaj być już ani grama śniegu. Widocznie temperatura była jeszcze na tyle niska, że dopiero za kilka dni cały śnieg miał stopnieć. Przeszliśmy śnieżne odcinki, jeden za drugim, bez specjalnych problemów. Śnieg był podgrzany promieniami słonecznymi na tyle, że nie było na nim lodu, a jego konsystencja pozwalała dobrze wbić buta. Pewnym utrudnieniem stało się coraz większe nachylenie zbocza. Trudniej wtedy przejść odcinki ze śniegiem. Trzeba było dobrze wbić kij od strony zewnętrznej, aby ciężkie, ważące ponad 20 kg plecaki nie przeważały nas w nieodpowiednim kierunku.

Wreszcie dotarliśmy pod najbardziej eksponowaną część zbocza. Wydawało się, że jest ono niemal pionowe. Ścieżka stała się tak „chuda”, że mieliśmy problem z odpoczynkiem. Trzeba było stać z plecakiem na

barkach, gdyż tak naprawdę nie było gdzie go położyć. Zapewne spadłby na dół. Jeśli chodzi o mnie, to początkowo przeszło mi przez myśl, czy nie warto by wyciągnąć raków, ale gdy spróbowałem wbić buta w śnieg uznałem, że to niewiele pomoże. Po prostu trzeba być ostrożnym i dobrze wbijać się w ślady poprzedników. Najważniejsze, aby nie przeważał nas ciężar plecaka.

Gdy już widać było przełęcz, do której zmierzaliśmy, okazało się, że skończyła się nasza ścieżka. Do końca ściany pozostało kilkadziesiąt metrów przewyższenia. Jednak jak tam dotrzeć? Na szczęście prowadzący dobrze wiedział, któredy należy iść i uznając, że dalszy marsz przez luźny, zalegający śnieg jest zbyt niebezpieczny, pokazał nam drogę przez wystający filar skalny. Gdy obejrzelśmy wskazaną trasę, także uznaliśmy, że nie ma co się pchać w niepewny śnieg, tylko spróbować wdrapać się po tej skale. Ponieważ jednak pokryta była wieloma drobnymi kamykami, okazało się to nie mniej niebezpieczne. Dlatego zdecydowaliśmy się zabezpieczyć pokonywany odcinek. Prowadzący nas, jako najsilniejszy, wspiał się około 30 metrów w górę i tam założył linę asekuracyjną. Dopiero wtedy mogliśmy podjąć skuteczną próbę wejścia wyżej. Faktycznie, bez liny nie dalibyśmy rady. Jednak takie wciąganie się z ciężkim plecakiem po prawie pionowej ścianie dało nam nieźle w kość. Wszyscy to odczuliśmy. Najbardziej zmęczona była nasza niewiasta. Nic dziwnego. Gdy dotarła do końca liny, wyzwoliła się z niesionego plecaka. Na szczęście był tam niewielki fragment terenu, na którym można było przysiąść. Ja stałem wyżej trzymając się łańcucha, gdyż szansy, by położyć gdzieś obok plecak nie było żadnej.

Spojrzelśmy w górę. Do przełęczki pozostało dosłownie kilkadziesiąt metrów, oczywiście w pionie. Serpentykami będzie nieco dalej. Ale inaczej się nie da. Przed nami jeszcze jedna, ostatnia łacha śniegu. Kilkanaście metrów, może nieco więcej. Pierwszy przeszedł prowadzący, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Drugi ruszyłem ja. Ślady pozostawione przez poprzedników były dosyć wyraźne, chociaż rozgrzany promieniami słonecznymi śnieg był trochę dziwny. Z jednej strony, gdy wkopywałem buta w ślad, siadał on dosyć wyraźnie, z drugiej strony trzeba było to czynić z rozmysłem, by naruszony śnieg po prostu nie zleciał. Dlatego starałem się najpierw dobrze wbić kij trzymany od zewnętrznej strony, a dopiero później przenosić do przodu jedną nogę. W tym czasie byłem pochylony bokiem do zbocza i trzymałem się ręką za śnieg. Tak naprawdę, to po prostu wdrapywałem się palcami w śnieg próbując go złapać. Kij z tej strony mógł mi tylko przeszkadzać. Mniej więcej pośrodku przejścia, gdy zmieniałem nogę, poczułem, jak wbity kij wpadł nagle jeszcze głębiej w śnieg i nieźle mną „majtnęło”. Na szczęście byłem pochylony w stronę zbocza, więc opanowałem sytuację. Trochę mnie ona jednak zmobilizowała do większej ostrożności. Starałem się nie patrzeć w dół. Byłem już tylko kilka kroków od skały.

Gdy pozostały mi dosłownie dwa, trzy kroki do skalnego podłoża, usłyszałem nagle tuż za sobą jakieś westchnięcie czy jęk. Trudno mi to teraz określić. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, jak idąca za mną dziewczyna spada ze śladu. Od razu plecak przeważał ją i ułożył na plecach. Zaraz też zaczęła odjeżdżać ode mnie. Ja, stojąc w śnieżnym śladzie, podparty z jednej strony kijkiem, mogłem tylko patrzeć na to, co się działo poniżej moich nóg. Dziewczyna zsuwała się coraz niżej. Najdziwniejsze, że robiła to w zupełnej ciszy. Nie krzyczała, nie wołała o pomoc. Było to tak przerażające, że musiałem oderwać od niej oczy i szybko postawić trzymaną w powietrzu nogę, by samemu nie polecieć w przepaść. Zrobiłem to w takim pośpiechu, że aż mną zachwiało. Na szczęście byłem już na skale. Wtedy obejrzałem się ponownie i zobaczyłem jak ona, oddalona już o kilkadziesiąt metrów ode mnie, dociera do miejsca, gdzie znajdowała się lekka fałda, za którą była już tylko bezkresna przepaść. Aż mi włosy stanęły, gdy to zobaczyłem. Stałem jak zahipnotyzowany. Dosłownie nie mogłem się ruszyć.

Gdy już się wydawało, że wyleci w powietrze, zobaczyłem, jak jej ciało bezwiednie skręca lekko w prawo i po wybiciu ponownie spada na śnieg leżący w skalnym leju. Znowu zaczęła się zsuwać jak na sankach. Tor jej ślizgu określał kształt leja. Sunęła środkiem zalegającego śniegu. O dziwo, jej szybkość wcale się nie zwiększała, wciąż była taka sama. Miałem wrażenie, że oglądam to w zwolnionym tempie. Ja stałem nie mogąc wykonać żadnego ruchu, a ona wciąż oddalała się ode mnie. Była coraz dalej i dalej. I wciąż wszystko przebiegało bezgłośnie. To było najbardziej przerażające w całym wydarzeniu. Ta absolutna cisza, jak na niemy filmie. Po chwili lej skręcił w lewo i ona znikła za skałami. I to wszystko, żadnego rumoru, żadnego krzyku, tylko ciągła cisza.

Teraz nie wiem, czy ona spadła dlatego, że się poślizgnęła, czy dlatego, że kij stracił stabilność, urwał się kawałek śniegu, czy po prostu przeważał ją plecak, a może zasłabła? Tego chyba nie dowiemy się już nigdy.

To nie koniec. Dopiero wtedy wszystko nabrało tempa. Popatrzyłem do tyłu i zobaczyłem, że narzeczoną dziewczynę, która spadła, zrzuca plecak i chce zejść w stronę przepaści, by sprawdzić, gdzie ona jest. Już

oczami wyobraźni widziałem, jak on też leci w dół. Nie wiedziałem, co się dzieje, słyszałem tylko, jak „wydzieram się” do niego, by stał w miejscu, by nie podchodził do przepaści. W tym samym czasie podobnie krzyczał prowadzący, który stał kilkanaście metrów nade mną. Nawet nie wiem, kiedy wbilem się w pobliską skałę i zrzuciłem plecak. Gdy złapałem się znajdującej się tam metalowej barierki, odwróciłem się i zobaczyłem, jak on wciąż zbliża się do krawędzi. Widocznie nas nie słyszał. W końcu przecisnął się koło mnie



prowadzący, kazał mi zostać i nie ruszać się stamtąd, a sam pognął w stronę chłopaka. Przez krótki moment nie wiedziałem, co się dzieje. Na szczęście zaraz zobaczyłem, że są już razem. Prowadzący wziął telefon i zadzwonił po pomoc. Wydaje mi się, że helikopter z ratownikami zjawił się przed nami dosłownie w kilka minut od zawiadomienia. To było niesamowite. Widziałem, jak spuszczeni byli z maszyny kolejni ratownicy. Moi współtowarzysze ruszyli w dół, by dotrzeć jak najbliżej miejsca upadku. Jeszcze nie dotarło do nas, że dziewczyna może nie żyć. Przecież zsuwała się tak powoli, spokojnie. Helikopter wciąż podchodził pod zbocze spuszczać kolejnych ratowników, by po chwili odlecieć na bezpieczną odległość. Coś się tam w dole działo, niestety stąd nie widziałem co. Wciąż ścisnąłem mocno barierkę, aż wbijała mi się w dłoń.

Ponieważ dostałem polecenie, aby iść dalej i zawiadomić pozostałą grupę o zaistniałej sytuacji, starałem się założyć na barki plecak. Nie było to wcale takie proste. Raz, że nie mogłem otworzyć zaciśniętej dłoni, dwa, że plecak nagle stał się niezwykle ciężki. Przecież nic się nie zmieniło, a ja nie bardzo mogłem go podnieść. Wreszcie udało mi się. Skierowałem się w stronę wystającej zza skały stalowej drabiny. Niby to tylko kilka metrów, ale jakoś długo trwało zanim tam dotarłem. Gdy puściłem barierkę, by złapać szczebel drabiny, stało się ze mną coś dziwnego. Nagle ręce zaczęły mi drżeć, a po chwili tak się trzęsły, że nie miałem szans, by cokolwiek nimi zrobić. Cały stałem się jakiś słaby, taki wiotki. Nie wiedziałem, co się dzieje. Starałem się powstrzymać rozdygotanie, ale nie bardzo mi się to udawało. Trwało tak kilka minut. Wreszcie zacząłem dochodzić do siebie. Uświadomiłem sobie, że oto zostałem sam na szlaku, sam nad przepaścią. Wiedziałem tylko, że trzeba iść do góry, że za przełęczą są nasi. Musiałem tam dotrzeć za wszelką cenę. Nie miałem innego wyjścia.

Chwyciłem pierwszy szczebel drabiny znajdujący się nad moją głową. Drugą ręką puściłem się barierki, bo inaczej bym nie dosięgnął drabiny. Wtedy noga postawiona na śniegu znajdującym się pomiędzy dwoma skałami osunęła się zrzucając cały śnieg. Zawisłem na ręce, którą zacisnąłem na szczeblu. Obróciło mnie plecami do ściany. To ciągnął ciężar plecaka. Widziałem tylko niebo, nic więcej. Bałem się spojrzeć w dół. Tam przecież nie widać dna. Chaotycznie machałem nogami próbując dosięgnąć jakiegoś oparcia. Trwało to tylko chwilę, ale mnie się wydawało, że całą wieczność. W końcu udało mi się chwycić drugą ręką kolejnego szczebla drabiny. Wreszcie, gdy podciągnąłem się trochę do góry, nogi złapały jakieś oparcie. Powoli piąłem się wyżej i wyżej. Postawiłem nogę na szczeblu, potem drugą. Przywarłem całym ciałem do drabiny i trwałem tak dłuższą chwilę. Musiałem ochłonać. Pewnie nikt nie byłby w stanie oderwać mnie wtedy od tego kawałka metalu. Gdy doszedłem do siebie, usłyszałem jakiś głos nade mną. Okazało się, że przyszedł zaniepokojony naszą długą nieobecnością prowadzący pierwszą grupę. Widząc tylko mnie spytał, co się stało. Gdy mu przedstawiłem sytuację, było widać, jak jego twarz się zmienia. Teraz on doznał szoku. Stał jak wryty. Ja tymczasem pokonałem drabinę i dotarłem do niego. Wreszcie teren nieco się wypłaszczył i mogłem zdjąć plecak.

Gdy obaj ochłonęliśmy, wyjąłem wszystko, co mogło nas postawić na nogi. Zjedliśmy całe zapasy słodczy wierząc, że to przywróci nam spokój. Faktycznie, po krótkim czasie byliśmy spokojni. On zszedł niżej, by zabrać porzucony plecak. Ja nagrałem telefonem, jak podfruwa helikopter. Miałem nadzieję, że coś wypatrzę. Widziałem, jak po kolei są wciągani na pokład ratownicy. W końcu zobaczyłem, jak na linie sunie do góry ratownik trzymający nosze, na których leży czarny worek. Dopiero teraz dotarło do mnie, że to już koniec. Obaj nie wiedzieliśmy, co robić, jak się zachować. Umówiliśmy się, że na razie nie powiemy o śmierci naszej koleżanki, powiemy tylko że zabrał ją helikopter.

Po chwili z przełęczą zeszli następni uczestnicy wyprawy. Podleciał do nas helikopter, z którego wysiadł ratownik sprawdzający, czy z nami jest wszystko w porządku. Zaraz odleciał. Podmuchał, jaki spowodował, omal nas nie zepchnął ze ścieżki. Dostaliśmy kamieniami miotanymi przez siłę jego łopat. W sumie teraz nie wiem, które zadrapania i rany na moim ciele spowodowały te kamienie, a których nabawiłem się miotając się na drabinie. Na szczęście dla mnie wszystko skończyło się niewielkimi ranami i podartym ubraniem. Co prawda gorzej było, jeśli chodzi o psychikę. Byłem całkowicie rozbity. Nie mogłem rozmawiać z innymi, bo zaraz w oczach stawały mi łzy. A przecież wówczas byłem jedynym, który widział całą tragedię.

Nie będę pisał, co się później działo. Wiadomo, każdy miał swoje zdanie. Trzeba było poczekać na oficjalny komunikat, co dalej. Ale to dopiero rano. Na razie trzeba było pomyśleć o przygotowaniu noclegu. Na szczęście znajdował się tu betonowy domek z kilkoma przyczami. Byliśmy na wysokości 2768 metrów. Wszystko wyżej było już białe i wraz z nadchodzącym wieczornym chłodem zaczynało błyszczeć tworzącym się na powierzchni śniegu lodem. Póki się dało, nabraliśmy do menażek śniegu i stopiliśmy go, by przygotować coś ciepłego. W końcu położyliśmy się spać. Sen nie bardzo mi przychodził. Raz, że jeszcze miałem przed oczami ten straszny obraz, dwa, że co chwilę słyszałem potężny zgrzyt, jakby coś ciężkiego szorowało o chropowatą ścianę. Nad ranem owe dziwne dźwięki nasiliły się do tego stopnia, że o śnie nie było już mowy. Okazało się, że to były odgłosy spadających na sąsiednich ścianach lawin.

Muszę powiedzieć, że noc, mimo iż bardzo mroźna, nie sprawiła mi problemów. Okazało się, że zabrane przeze mnie śpiwór faktycznie pozwala spać na śniegu przy temperaturze bliskiej minus 30 stopni. Nie czuje się w nim żadnego zimna.

Wreszcie nastał ranek. Słońce oświetliło ściany przed nami. Zobaczyliśmy nad sobą trzy schroniska, w tym to najnowsze, usadowione na zboczu tak, że aż trudno uwierzyć, że nie zleci. To właśnie do niego poprzedniego dnia wciąż latały helikoptery z zaopatrzeniem.

Zapadła już oficjalna decyzja. Wyprawa zostaje przerwana i w związku z zaistniałą sytuacją jesteśmy proszeni o zejście na dół. Tym razem nie ryzykowaliśmy i zeszliśmy drugą stroną. Najpierw pokonaliśmy pole lodowe, a później zdecydowaliśmy się iść torami kolejki. Nie zważaliśmy na żadne zakazy. Niech no tylko spróbują nas zawrócić! Na szczęście nikt nie reagował. Jediną niedogodność stanowiły spaliny pozostałe w tunelu po przejeździe kolejki. Myśleliśmy, że się udusimy.

Na dół schodziliśmy kilka godzin. Obtarliśmy sobie palce w butach, z powodu nachylenia stoku. Kolejka, by tutaj podjechać, ma ułożoną trzecią szynę jako zębatkę. Po godzinie marszu dotarliśmy do wyciągu, którym zjechaliśmy na dół i już byliśmy na kempingu. Musieliśmy tylko poczekać, aż francuska żandarmeria spisze odpowiedni protokół. Nie trwało to zbyt długo. Okazało się, że – ze względu na liczbę podobnych wypadków – jest ona przygotowana do takich procedur. Wkrótce dotarł do nas nasz prowadzący i poinformował o ustaleniach dokonanych przez odpowiednie służby. Ponieważ posiadaliśmy stosowne ubezpieczenia, ubezpieczyciel zajął się wszystkimi sprawami finansowymi oraz transportem zwłok do kraju.

Niestety, tym razem nasza wyprawa zakończyła się tragicznie. Zginęła nasza koleżanka. My nie osiągnęliśmy zaplanowanego celu. Tym razem wygrała góra. Tak to już jest. Nie zawsze człowiek zwycięża. Pewnie niebawem zostaną przedstawione stosowne ustalenia, co do przyczyn wypadku. Na razie wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

Na koniec, aby niepotrzebnie nie wchodzić w dyskusje, powiem tak: góry to inny świat. To świat marzeń. Tych spełnionych i tych niespełnionych. Góry to świat radości, ale też świat cierpienia i łez. Góry nie są dla wszystkich, to fakt. Niemniej, góry to marzenia, to świat do którego łąnie wielu. Ten świat jednak trzeba rozumieć, traktować z należytym szacunkiem i powagą. Góry, jeśli czujesz przed nimi odpowiedni respekt, pozwolą ci bezpiecznie wrócić do domu. Musisz tylko bardzo tego chcieć.

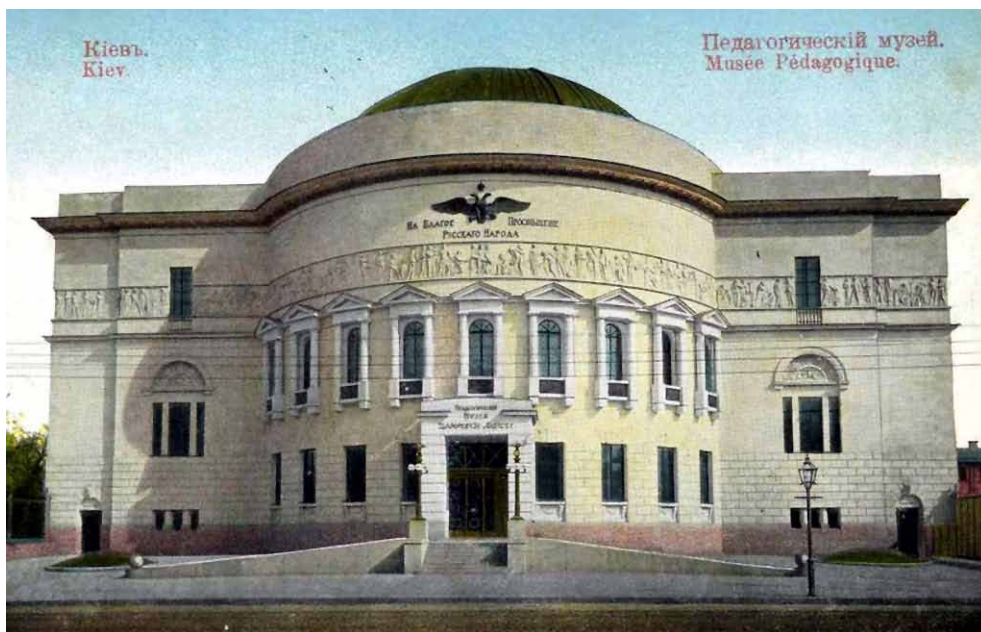
Krzysztof Tęcza

Muzeum Pedagogiczne w Kijowie

Zupełnie niedaleko dwóch Zopisywanych ostatnio muzeów sztuki (NS e-140 2018-06, NS e-141 2018-07) w kijowskim Miejskim Domu Nauczyciela mieści się unikalne Muzeum Pedagogiczne Ukrainy, podlegające Narodowej Akademii Nauk Pedagogicznych. Kolekcja powstała w 1901 r., ale budynek, w którym dziś się znajduje, wzniesiono w 1911 r. według projektu znanego architekta Pawła Aloszyna. Został on zbudowany dzięki środkom uzyskanym od mecenasa – prezesa kijowskiego komitetu giełdowego Siemiona Mogiłowcewa. Sam premier rządu carskiej Rosji, Piotr Stołypin, uczestniczył w kładzeniu kamienia węgielnego pod budowę (kilka dni później zginął w Operze Kijowskiej z rąk zamachowca). W budynku muzeum w 1917 r. Centralna Rada z Michałem Gruszewskim na czele ogłosiła powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Od 1921 r. mieściło się tu Muzeum Proletariatu, a od 1924 r. Muzeum Rewolucji. W 1938 r. w budynku powstała filia moskiewskiego Centralnego Muzeum Lenina. Przedtem gmach zrekonstruowano i poszerzono dwukrotnie, nie naruszając wyglądu jego części czołowej. W czasie okupacji Kijowa trwającej od 1941 r. Niemcy urządzili w nim muzeum archeologiczne. Po wyzwoleniu Kijowa w 1943 r. powróciło tu muzeum Lenina. Gdy na jego potrzeby zbudowano nowy wielki gmach przy placu Leninowskiego Komsomołu (dziś plac Europejski), w 1982 r. w starym budynku zorganizowano Miejski Dom Nauczyciela. I tak jest do tej pory. Muzeum pedagogiczne zajmuje część pomieszczeń na piętrze.

Dziś jest to dwupiętrowy gmach na planie prostokąta, z wewnętrznym dziedzińcem, zbudowany z cegły, oblicowany białą inkermańską wykładziną kamienną (z Krymu). Frontonowi autor nadał styl neoklasycystyczny. Fryz na poziomie drugiego piętra przedstawia rzeźbiarską wizję historii oświaty.

Dzisiejsza kolekcja liczy ponad 45 tys. jednostek muzealnych, 3200 z nich wpisano do rejestru dziedzictwa narodowego. W pomieszczeniach udostępnionych dla muzeum mieści się niewiele eksponatów, dlatego często zmienia się ekspozycję.



Muzeum pedagogiczne tuż po zbudowaniu...



... i obecnie

Przybory dydaktyczne

Muzeum przechowuje unikalne księgi: „Podręcznik filozofii, geografii, historii” (1488), „Statut litewski” (1570), „Słownik frazeologiczny” (1598), „Apostoł” (1654), „Ewangelion” (1670), „Ilustrowany atlas geograficzny” (1777) zawierający 100 map i wiele innych książek, wykorzystywanych w nauczaniu młodzieży w szkołach, kolegiach i akademiach. Posiada kolekcje podręczników, fotografii, dokumentów, czasopism pedagogicznych, pomocy szkolnych i środków technicznych do nauczania. Ekspozycję urządzono chronologicznie, od *księżego uczenia* w Rusi Kijowskiej, poprzez *bratskie szkoły* XIV w., pedagogikę Kijowsko-Mogilańskiej Akademii, XIX i XX wiek, do czasów współczesnych. Placówka jest jedną z niewielu takich w Europie. Muzea pedagogiczne istnieją jeszcze tylko w Sofii i Wilnie, choć tych poświęconych dziecku jest więcej, np. w Anglii, Francji i Rosji.

Takie ławki pamiętają starsi czytelnicy

Muzeum organizuje okresowe wystawy, ostatnio po dziesięć rocznie, związane z jubileuszowymi rocznicami wybitnych ukraińskich pedagogów. Urządza odczyty i wycieczki tematyczne dla uczniów. Prowadzi prace naukowo-historyczne, ściśle współpracuje z muzeami szkół wyższych Ukrainy.

Janusz Fuksa

Zabawki



Świnica – Zawrat. Zamknięty szlak

To będzie krótki odcinek PORADNIKA, ale jakże ważny. Huk był potężny. Jak wspomina świadek wydarzenia, ratownik i przewodnik tatrzański: *Będąc w [Dolince] Pustej, myślałem, że to jakiś wybuch na Liptowie albo Grań Hrubego się oberwała* (źródło: wspinanie.pl). Duże różnice temperatur między nocą a dniem oraz penetrująca skałę i zamarzająca w skalnych szczelinach woda doprowadziły do rozsądzenia skał i dużego obrywu z Niebieskiej Turni. Dla niewtajemniczonych: to spora strzelista turnia między Świnicą a Zawratową Turnią, stercząca nad niezwykle popularnym szlakiem Świnica – Zawrat w Tatrach. Zwykle przemierzają ten odcinek niemalże tłumy ludzi, w tym sporo turystów. Z bardziej oryginalnych (czy na pewno?) można było spotkać zakonnice w sandałach (widziałem na własne oczy) prowadzące kolonijne grupy dzieci. Czy jest to szczyt nieodpowiedzialności, niech Czytelnicy wyrobią sobie własne zdanie. Pomijam stronę prawną takich zachowań – są przepisy określające obowiązki wychowawców grup w terenie wysokogórskim w parku narodowym, m.in. konieczność wynajęcia licencjonowanego przewodnika. Ale to dygresja i wycinkowa ilustracja ruchu turystycznego między Świnicą a Zawratem i w innych partiach Tatr Wysokich.



**Niebieska Turnia i fragment szlaku po obrywie.
Fot. wspinanie.pl i Zakopane.info**

Owo zamarzanie gromadzącej się w szczelinach wody to naturalny, nieustanny proces, dotyczący każdego fragmentu skalnej grani, gdzie by ona nie była. Trafiło akurat na Niebieską Turnię, ale taki obryw może się zdarzyć wszędzie w skalnym terenie. Teraz nad miejscem, gdzie biegł szlak, wisi to, co z Turni pozostało, a więc wielki nieregularny okap, którego spistość jest problematyczna. Może się oberwać w każdej chwili. **TPN zamknął zatem szlak między Świnicą a Zawratem(*)**, a stosowne miejsca zaopatrzył we właściwą informację. Wiadomość o obrywie obiegła prasę i media elektroniczne. Mimo to nie brakuje ludzi, którzy wchodzą na zamknięty szlak. Pojawiły się w Internecie zdjęcia z takimi śmiałkami w głównej roli. Nie wiadomo, co nimi powoduje. Mogą być dwie przyczyny: niewiedza lub świadoma ignorancja. Informacja o zamknięciu szlaku jest dwujęzyczna, jednak początkowo wersja angielska zawierała błąd merytoryczny. Napisano bowiem, że szlak jest zamknięty z powodu powalonych drzew: *IS CLOSED DUE TO FALLEN TREES!*. Jeśli ktoś wiedział mniej więcej w jakim terenie biegnie szlak, mógłby taką informację zignorować, wszak żadnych drzew tam nie ma.

Jest w masywie Mount Blanc słynny „żleb spadających kamieni”, teraz – choć w mniejszej skali – jest podobne miejsce w naszych Tatrach. Obryw i kamienne osuwisko są aktywne, nie można wykluczyć, że taka sytuacja będzie długotrwała, nie wiadomo wszak, jakie procesy zachodzą w skale. Turnia, co widać na zdjęciach, nie jest jednolitą bryłą skalną. Woda i zmiany temperatur, to główne czynniki erozji. Woda rozmiękcza rumosze skalny wiążący luźne kamienie na osuwisku, co powoduje jego niestabilność. Przymrozki i mroź przyczyniają się do rozsadzania skał. To może trwać długo. Stabilizacja terenu może trwać latami. Tak przypuszczam. Nie jestem specjalistą od „latających skał”, ale widziałem kiedyś w Dolomitach, jak „kamyk” wielkości biurka oderwał się od ściany i staczał po stoku podskakując i nabierając prędkości. Głaz przeleciał przez szlak i zniknął w czeluści doliny.

(*) Próbowałem zasięgnąć opinii u najbardziej kompetentnego źródła, jakim jest TPN, kierując tam pytanie o ocenę sytuacji w rejonie Niebieskiej Turni. W e-mailu zapytałem, czy zmieniono angielską treść ostrzeżenia, jednak po tygodniu czekania nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. Mam wrażenie, że zignorowano moje pytanie. Szkoda, myślałem że Parkowi zależy na rzetelnym informowaniu turystów o sytuacji w górach i na ich bezpieczeństwie.

Juliusz Wystouch



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołówce 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



„ToTuToTam” na szlaku Orłowicza

Mam na imię Sandra i reprezentuję Koło Turystyczne „ToTuToTam”. Opowiem o najdłuższym szlaku turystycznym w Sudetach im. Mieczysława Orłowicza. Szlak znakowany jest kolorem czerwonym. Zaczyna się w Świeradowie-Zdroju, a kończy w Prudniku. Moje zainteresowanie szlakiem M. Orłowicza, jak i samym dr. Orłowiczem rozpoczęło się od przeczytania książki pt. „Wycieczki sierpniowe Mieczysława Orłowicza”, którą dostaliśmy w prezencie na urodziny naszego Kółka od samego autora, pana Tomasza Kowalika.

Pan Tomasz dowiedział się o nas z Internetu. Znalazł nas na jednym z portali turystycznych, na których zamieszczane są wpisy, między innymi z naszych wycieczek. Autor widząc, że tak młodzi ludzie z pasją chodzą po górach, chciał nas jeszcze bardziej do tego zachęcić i zmotywować. Dlatego przysłał nam tę książkę. Jak autor przeczuwał, zainspirowała nas ona do pokonania całego szlaku, który ma ponad 444 km długości. I tak wędrujemy po Sudetach, patrząc na piękne krajobrazy, podobnie jak dr. Mieczysław Orłowicz 70 lat temu. Jak na razie pokonaliśmy dziesięć odcinków. Podczas pierwszego, rozpoczętego 24 kwietnia 2016 r. w Świeradowie-Zdroju, przechodziliśmy obok tablicy upamiętniającej setną rocznicę śmierci dr. Orłowicza. W samym Świeradowie widzieliśmy kilka fajnych rzeczy, m.in. fontannę z żabkami, pijalnię wód i zabytkowe budynki uzdrowiska. W trakcie dwudniowej wędrowni spaliśmy



Na starcie Szlaku Orłowicza w Świeradowie-Zdroju, 2016 r.



Koło „ToTuToTam” w schronisku PTTK na Stogu Izerskim



Wspomniana w tekście tablica pamiątkowa

nie po górach było Jego pasją, a nie zawodem. Dlatego Jego szlak jest tak „fajny”. Pan Mieczysław pracował w Zespole Nazewnictwa. Zadaniem tego zespołu było nazywanie miast, szczytów i pasm gór. Wędrując po Karpatach Wschodnich często zmieniano nazwy z ukraińskich na polskie. Orłowicz był wówczas jednym z niewielu znających się na turystyce. Założył nawet klub, który nosił nazwę „Klub Hnitesa”. Nazwa wzięła się od najbardziej wysuniętego na południowy wschód wierzchołka w niegdyś polskich Górach Czywczyńskich. Pan Orłowicz układał teksty wielu piosenek turystycznych (które również znajdują się we wspomnianej wyżej książce), a turyści wymyślali melodię. Najczęściej były to melodie znanych przed wojną „hitów”. Melodia do piosenki, w której refrenie powtarza się wers *Niech nam żyje "Hnitesa Klub"*, została zaczerpnięta ze znanej wtedy piosenki o Lwowie, a mianowicie z „Marszu Lwowskich Dzieci”. Utwór ten był hymnem Lwowa. Polskiego Lwowa. Do dziś w Świdnicy żyje wielu lwowiaków i ich potomków. Po delikatnej przeróbce słów – *Niech nam żyje „ToTuToTam” Klub* – piosenka ta stała się hymnem naszego Kółka. Śpiewamy ją na wszystkich uroczystościach i podczas naszych wędrowek. Myślę, że doktorowi by się to spodobało. Chodził On po górach, całe życie inspirując do poznawania kraju ojczystego o wiele młodszych od siebie. I nadal inspiruje, czego dowodem nasza gromada. Jest On postacią ważną dla polskiej turystyki.

Sandra Matyszczuk

O autorce tekstu

Sandra Matyszczuk jest członkiem Młodzieżowego Koła PTTK „ToTuToTam” przy Młodzieżowym Domu Kultury w Świdnicy, od chwili powstania (2010 rok). Uczestnik eliminacji powiatowych (2015–2018) i wojewódzkich (2016–2017) Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno-Krajoznawczego, wielu imprez na orientację, rajdów i wycieczek Koła. Poza turystyką Sandra uczestniczy w zajęciach tanecznych, recytatorskich, wokalnych i teatralnych w MDK. Bardzo aktywna 16-latką została odznaczona Medalem 5-lecia Koła (2016), Odznaką „Orli Lot” w trakcie XXI Zjazdu Oddziału PTTK w Świdnicy (2017) oraz dyplomem Dolnośląskiego Zespołu Turystyki Pieszej przy Porozumieniu Oddziałów Województwa Dolnośląskiego – za ofiarną i radosną działalność kulturalno-turystyczną (2018). Od lutego 2018 r. posiada uprawnienia Młodzieżowego Organizatora Turystyki. Bardzo miła i uczynna, zawsze chętna do organizacji gier i zabaw dla młodszych kolegów w kole.

Zbigniew Curyl



Sandra Matyszczuk

Adam W. + dwudziestu, po siedmiu latach

Przyroda co krok razem z nami

Turystyka – jak powszechnie wiadomo – odbywa się w otoczeniu przyrody, ba, nawet nie ma co mówić o turystyce bez poznawania przyrody. Chcąc nie chcąc, wędrujemy do przyrody, dla przyrody, bo ona daje nam to, co także w krajoznawstwie najważniejsze. Oto „Wielka księga prawdziwych tropicieli”*, czyli wzniesione po 7 latach tomisko reportaży, obserwacji, porad, ostrzeżeń, a oprócz nich kilkaset fotografii 20 autorów i samego Adama Wajraka. Ta cenna lektura o tematyce przyrodniczej pokazuje rozległą wiedzę i doświadczenie terenowe Autora.

Wiadomo, że to człowiek zaprzędany przyrodzie. Jeden z nielicznych amatorów a zarazem zawodowców w podglądaniu, fotografowaniu, opisywaniu tego, co nazywamy żartobliwie „pięknymi okolicznościami przyrody”. Adam Wajrak udowadnia, że tej przyrody mamy wokoło pod dostatkiem, a równie ważne jak poznawanie jest chronienie tego, co nazywamy naturalnym pięknem naszego kraju. „Księga” składa się z czterech dużych rozdziałów, pokazuje nasz kraj w ciągu czterech pór roku. Jest swoistym przewodnikiem przyrodniczym, który – niestety – trudno mieć ze sobą w czasie wycieczki, bo format duży i waga niemała.

Autor na 487 stronach splecionych z fantastycznymi zdjęciami, zachęca do przeżycia tysiąca przygód w przyrodzie, pod warunkiem zachowania pewnych zasad postępowania. Ze swego ogromnego doświadczenia wybrał nie tylko zdarzenia sensacyjne, z dreszczykiem, ale przede wszystkim jak najbardziej pożyteczne spotkania z naturą. Z naszymi polami, lasami, wodami, łąkami, górami, nizinami, parkami narodowymi, krajobrazowymi i rezerwatami. Wszystkie pokazane czytelnikom przypadki krajoznawczych spotkań z przyrodą, to opowieść o spotkaniach Autora (dzięki umiejętności patrzenia na otoczenie) z tym, co w naszej przyrodzie najcenniejsze, najciekawsze, unikatowe, godne poznania.

Wajrak prowadzi tam, dokąd nie każdemu uda się dotrzeć, a także tam, gdzie wieje grozą, gdzie jest niebezpiecznie, gdzie można przez nieumiejętne podglądanie przyrody stracić zdrowie, a z głupoty także życie. Najcenniejsze okazy przyrodnicze, najcenniejsze krajobrazy, najcenniejsze środowiska ulegają z czasem – także „dzięki” nam – degradacji. Kurczą się tereny, gdzie można mówić o naturalnym pięknie łona przyrody. Każdy z czterech głównych rozdziałów poświęcony jest kolejnej porze roku. Kończącą część każdego Autor poświęcił przyrodzie w mieście.

Oto „Wiosna”, ale nie ot taka, kalendarzowa, bowiem rytm przyrody o tej porze roku ma także odmienną postać. Autor prowadzi nas nad Biebrzę i Narew, oczywiście do „swojej” Puszczy Białowieskiej, no i w Bieszczady. Odmienność kolejnych pór roku w przyrodzie, to dla tropiciela zjawisk przyrodniczych okazją do wędrowki po Tatrach, w okolicach Olsztyna, po plażach bałtyckich, nad jeziora, rzeki, na podmokłe łąki, czyli tam, gdzie tętni bujne życie.





Wajrak podpowiada, z własnego doświadczenia, jak się tam zachowywać, żeby mieć poczucie przeżycia przygody, niejednokrotnie jedynej w życiu i w swoim rodzaju. Może to być traf, jak spotkanie z niedźwiedziem, łosiem, wilkiem, rysiem, cietrzewiem, czajką, bielikiem, bocianem czarnym – bardzo rzadkim i białym – powszechnie znanym i licznie występującym w kilku tylko regionach Polski.

Są jednak okolice, gdzie może mieć miejsce spotkanie absolutnie wyjątkowe – z oplatającym pień czy konar drzewa wężem Eskulapa. Częściej można wypatrzeć w tatrzańskim potoku nurkującego skrzydlatego pluszcza, a na Podlaskim Szlaku Bocianim – dziesiątki zajętych gniazd białych bocianów, ciekawskie sowy wyglądające z dziupli w pniu drzewa, kozice biegające zwinnie po skalnych upłazach tatrzańskich. Znacznie trudniej jest podpatrzeć skryty rytm życia bobrów, susłów, świstaków; dostrzec kochającą wilgoć po deszczu salamandrę plamistą czy barwnie upierzoną żołą; zobaczyć wirujące w locie gromady czajek czy znacznie łatwiej zauważane o świcie żurawie i słuchać ich klangoru.

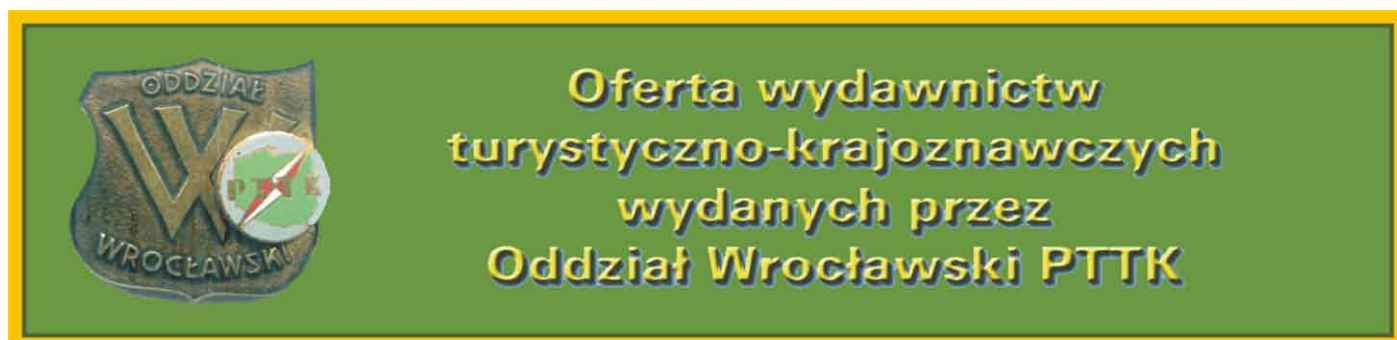
Autor potrafi wciągać w zakamarki i odludzia, gdzie przyroda, niczym nieskrępowana, żyje swoim rytmem, jest bujna, bogata, tworzy unikalne krajobrazy i pyszni się swoimi barwami. Z natury rzeczy Adam Wajrak znacznie mniej uwagi poświęca porze zimowej, kiedy obserwator, tropiciel, by osiągnąć zadowalający go sukces, musi wykazać się samozaparciem, cierpliwością i znacznym zasobem wiedzy.

Każdy rozdział „Wielkiej księgi...” poprzedza charakterystyka danej pory roku. Na przykład jesień *to czas obfitości owoców i nasion, o niespotykanym w żadnej innej porze roku obżarstwie. To jesienią jak szalone opychają się dziki, żubry i niedźwiedzie, nornice, myszy, popielice, gęsi i żurawie. Jesień to też czas na miłość. Myślicie, że coś mi się pomyliło, bo wszyscy wiedzą, że zwierzakom przychodzi ochota na miłość wiosną? Mylicie się! Kozicom, żubrom, łosiom, jeleniom, niektórym nietoperzom oraz pająkom na zaloty zbiera się właśnie jesienią. Gdyby nie jesienne gody, wiosną wiele zwierzaków nie miałyby dzieci. Jesienią jest więc co tropić i podglądać.*

Na trzech ostatnich stronach Autor „Wielkiej księgi...” dziękuje kilkudziesięciu swoim nauczycielom, naukowcom różnych specjalności, leśnikom, fotografom, czyli każdemu, kto zrazu nieobeznanemu z tajnikami polskiej przyrody pokazał mnóstwo zjawisk, miejsc, okolic, czasem uważanych za banalnie nieciekawe (a tu, proszę, jakie bogactwo). W ten sposób zachęca czytelników do wyprawiania się w teren, na bezdroża, w ostępy i gęstwiny, na mokradła i wydmy, po prostu na szlaki, na których trzeba zrobić pierwsze kroki, aby poznać naszą przyrodę.

Tomasz Kowalik

Adam Wajrak, „Wielka księga prawdziwych tropicieli”, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2018, s. 489, w tym kilkaset czarno-białych i barwnych fotografii



Bez kwiatów dla Julka W.

Wielka ogarnia mnie radość, że mam pilnego (czy tylko jednego???) czytelnika. A może się mylę, jak w przypadku dodania Fryderykowi Chopinowi kilku lat z okazji wakacji u Dziewanowskich?

Poza tym moja wiedza o Fryderyku i kolejach losu starszych, średnich i nieletnich wykonawców jego utworów jest znacznie większa, niż napisatem w tekście.

Szlachetną pasję muzykowania i koncertowania od wielu lat podziwiam i szanuję, ale – jak rany koguta – nie muszę z nadzieją na publikację w miesięczniku krajoznawczym, do tego GÓRSKIM (!!!), NAPISAĆ WSZYSTKIEGO, CO WIEM „W TEMACIE”...

Szanowny J.W. pilnie (niemal ze szkiem powiększającym) wyczytał na tych tamach niejednego byka autorskiego. Niewątpliwie gigant w śledzeniu idiotów, którzy pchają się w nasze góry, być może zastuży sobie na tytuł „Honorowego Ratownika Bezmyślnych Ceprów”, czego mu szczerze życzę.

Ale Szanowny..., proszę zważyć, że dobrymi radami piekto już dawno wybrukowali jeszcze bardziej zaciekli naprawiacze rzeczywistości, także turystycznej, i gucio...

Mimo wszystko, wielkie dzięki. I jak to dobrze, że J.W. jest na bieżąco z kroniką wypadków górskich, a zarazem bardzo daleki od takich wyczynów, zaś doskonały w wiedzy o swoim i sąsiednich regionach naszego pięknego kraju.

Szczyście Boże temu Autorowi i wieczna chwata Chopinowi, także na Ziemi Dobrzyńskiej.

Tomasz Kowalik

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wystouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



ISSN 1230-9931

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.